

VariaArt

pismo kulturalno-literackie
01/2013



www.wbp.olsztyn.pl



W 8 B 4



ISSN 2080-1483



Anna Rau FOTOMONTER

Cisza. Niebieska płachta nieba, zielona tafla nieruchomej wody, małe kółko wokół spławika i flauta. Wreszcie cisza. W głowie nie tupie i można chwilę przysnąć. Cudownie być wędkarzem.

Nagle zakotłowało się, jakby kormoran wpadł po rybę ostatniego ratunku tuż przed śmiercią głodową... i stało się. Poderwać, bo ucieknieee! Niech to będzie szczupak, niech to będzie węgorz, niech to będzie wielory... O! Złota rybka!!! I trzyma się, bestia, płetwą haczyka jakby trapezu. Rezolutna, z małymi lekko zezującymi oczkami.

- Taś, taś, rybeńko, zaniosę cię do domu i...

- O czym ty mówisz, rybaku, po pierwsze jestem złotą rybą, nie kaczką, po drugie znalazłam haczyk z rybakim na końcu, więc masz mnie wysłuchać, rybaku, i...

- Dlaczego mam cię słuchać, ty, rybo jedna – Rybak zdenerwował się, bo wyczuł w tym jakąś ciemną sprawkę. – Jesteś mi obca gatunkowo i mentalnie! A do tego wszyscy wiedzą, że ryby nie mają głosu! Więc ja cię słyszę tylko dlatego, że wczoraj miałem imieniny, było wesoło i tego...

Ryba totalnie go zignorowała.

- ...i masz spełnić moje trzy życzenia! Po pierwsze przyrzeknij mi, że już nigdy w życiu nie zjesz żadnej ryby! Popatrz na mnie! – nie zasługuję na pożarcie, jestem dobrą, porządną, ustabilizowaną rybą. Wszystkie takie jesteście! Po drugie chcę choć raz polecieć w powietrze, tak jak te stworzenia, których odnoża i płetwy czasem widzę tuż pod powierzchnią wody. Czyli: masz mi to umożliwić. Słyszałam też, że gdzieś w dalekich wodach istnieją ryby, które posiadają tę umiejętność. Jest nawet – ryba wyraźnie się rozgadała – stara legenda o rybie, która chciała się zbliżyć do słońca. Rybi ojciec – lecący z nią w bezwodnych przestworzach – ostrzegwał syna, by nie wzbijał się zbyt wysoko, bo spali sobie skrzela, ale młody nie posłuchał i...

- Nazywał się Ikar? – ten syn? – spytał z rosnącym zainteresowaniem Rybak.

- Ikar?! A co to za imię dla ryby? Nazywał się Latająca Ryba-Syn.

- A ojciec zapewne Latająca Ryba-Ojciec...

- Tak!

- Eee, o ludzka legenda!

- Gadanie! Przecież ludzie nie latają, a ryby tak – z wyższością w głosie odpowiedziała ryba. – Chcesz mnie zagadać. Moim trzecim życzeniem jest...

- Spełnię twoje trzy życzenia, jeśli ty spełnisz trzy moje – prze-rwał jej szybko rybak.

- No, jakie te twoje życzenia? – spytała ryba bez entuzjizmu.

- Chcę być młodszy, bogatszy i pojechać w podróż dookoła świata!

- Nudne jak flaki z olejem! – ryba spojrzała na niego z politowaniem. – I czy ja naprawdę jestem ci potrzebna do tych głupich życzeń? Wystarczy, że zaczniesz uprawiać sport, a po trzech miesiącach jesteś młodszy, po roku, gdy zaczniesz mieć wyniki – jesteś bogatszy, a po trzech latach, jak zaczniesz wydawać te pieniądze z wyników – jedziesz na wycieczkę. Niektórzy w przeszłości to mie-

li fantazję! Jeden facet to chciał się stać bałwanem, żeby stopnieć wraz z nadejściem wiosny...

- Nie mogę tego słuchać – Rybak poczuł, że zaczyna tracić rozum. – Powiedz mi swoje trzecie życzenie, ja je spełnię, ty sobie pójdziesz eee... odpłyniesz, a mnie przestanie wreszcie boleć głowa.

- Moim trzecim życzeniem jest, aby zobaczyć przerażającego potwora, którego kotem nazywają! To główna postać naszych wszystkich opowieści i legend. Podobno wodna kula Ziemi to piłka, którą tur-la Odwieczny Kot, a Trzy Stare i Paskudne Kotki złośliwie przęda- nić życia każdej rybie – dlatego często jest ono takie dramatyczne – te wszystkie patelnie i puszki z olejem oraz pomidorami!

- O! – ucieszył się Rybak. – To fajne życzenie! Mam w domu kota, który z radością da ci się poznać z najlepszej strony! Wręcz poznasz do głębi kocie wnętrze! Ale najpierw – zmitygował się – spełnij moje życzenia, powiedziałaś, że ogólnie są łatwe!

- Jasne – rybka niefrasobliwie machnęła płetwą – skoro tak ci się spieszy... Ale zaraz potem, jak dobiegniesz, niesiesz mnie do kota!

Rybak zdążył tylko ryknąć: „Jak to »dobiegiesz«?!”, i nagle okazało się, że rzeczywiście biegnie w wielkim tłumie spoconych wielonarodowych biegaczy, na jakiejś szosie, wśród wiwatujących tłumów na poboczach. Poczuł, że jest bardzo zmęczony, a zawieszony na jednym z drzew napis „Meta – 10 kilometrów” lekko go zdołował.

- Dlaczego maraton, a nie szachy?!!!



Bogaczewo nad jeziorem Narze (lato 2012 r.)
Fot.: Anna Rau

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.republika.pl

Zespół redakcyjny: Sylwia Biatecka, Iwona Bolińska-Walendzik, Anna Rau, Anita Romulewicz

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika i skład: Przemek Kozak; kozak@sonc.pl

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniński Olsztyn

ISSN 2080-1483

Zrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

02	Fotomonter XVII
04	Trójjęzyk w sprawie fal
06	Proza → Urszula Witkowska
08	Tratwy na łynie
10	Zabytki hydrotechniki w krajobrazie
13	Recenzja literacka
14	Poezja → Zdzisław Lomperta → Piotr Bierzyński → Bożena Kraczkowska
15	Proza → Waldemar Kontewicz
16	Galeria VariArt-u → Wiesław Wachowski
18	O tym jak syrenki cesarzy pokonały...
21	Na radiowej scenie
22	Arno Holz – poeta, teoretyk, wizjoner
23	Poezja → Arno Holz
24	Recenzja literacka
26	Wszystko płynne
28	Felieton
29	Recenzja literacka
30	Szkice z obrazem
31	Recenzja muzyczna

Nie będziemy łąć wody, sporo jej upłynie w numerze – co nie znaczy, że będzie nudno, ale że będzie na fali. A my niczym chyża łódź żaglowa kierujemy swój dziób ku przystani Olsztyn.

Zacznijmy od fal... w Radiu Olsztyn – o ich interferencji wypowiedzą się Wojciech Ogrodziński, Robert Lesiński i Norbert Aksler, inżynier. Jako że bynajmniej na tym radio się nie kończy – na temat słuchowiska *Powrót do Breitenheide* na podstawie prozy Włodzimierza Kowalewskiego napisał również Wojciech Ogrodziński. A jakże.

Stały ład literatury pięknej zasiedlają: Urszula Witkowska i Waldemar Kontewicz. Katamaranem poezji sterują: Bożena Kraczkowska, Piotr Bierzyński i Zdzisław Lomperta. Arno Holz w tłumaczeniu Krzysztofa D. Szatrawskiego przypląwa na przelotnym prądem przeszłości.

W Galerii pokazujemy wody w różnych stanach – krople, zacieki, plamieje, mumele u Wiesława Wachowskiego. Owe wody próbują okiełznać zabytki hydrotechniki w tekście Adama Płoskiego oraz fontanny Joanny Mariuk. Elbląskie wszystko płynne przedstawia Agnieszka Jarzębska, a źródła Wisły – Iwona Bolińska-Walenzik.

Na kartach „VariArt-u” obecne są również różnej pluszczącej mądrości wodne stwory, jako że jesteśmy w Olsztynie, Stolicy Krainy Iluŝtam Jezior: syreny, wodniki, topielce, złote rybki. Dobrze, że są tratwy – ostatnie tratwy ratunku – o których pisze Rafał Bętkowski.

W całym numerze woda wylewa się z przedziwnych filizanek Letycji Pietraszewskiej, a cumami, które trzymają nas w bezpiecznej przystani, są: recenzje *Antologii Warmińskiej* i *Mazurskich czarów* oraz tomiku Mirosława Ślapika, jak i *Szkic z obrazem* Dariusza Szymanowskiego oraz recenzja muzyczna Krzysztofa D. Szatrawskiego – tym razem o wstrząsie na styku elektro i poezji.

Po kilku rumach zrelaksujemy się skutecznie na falistym stereogramie, w którym – zdradzamy – jest rybka...

Ahoj!,
Redakcja



Trójgłos w sprawie fal

O fale nie tylko radiowe zapytaliśmy w Polskim Radiu Olsztyn

Norbert Aksler

Fale radiowe – dlaczego właśnie nazwa „fale”? Ten znak zapytania być może skłonił kogoś do chwili refleksji. Niby wiadomo – ktoś mówi do mikrofonu – na przykład w rozgłośni Radia Olsztyn – jakiś sygnał idzie do masztu, na przykład do tego na olsztyńskim osiedlu Pieczewo (bardzo ciekawa konstrukcja – wybudowany w 1969 r. – ma wysokość aż 358,5 m; to najwyższa konstrukcja w Polsce, wyższy od wieży Eiffla o 34 m!), a stamtąd jakimś dziwnym sposobem do naszych radioodbiorników. Proste? No, niby tak, ale dlaczego tak się dzieje? Skąd te „czary mary”. I tutaj może zacząć się dłuuuuugi wykład, który w ustach różnych inżynierów może nieco inaczej brzmieć ze względu na złożoność techniczną tego zagadnienia. Ale tak było od początku. Gdyby tak nie było, sądy po latach nie zastanawiałyby się, kto i dlaczego jest ojcem radiofonii (uważa się, że Guglielmo Marconi, ale po półwieczu od wysłania sygnału w przestrzeń sąd amerykański patent przypisał niezyczącemu już wtedy Nikoli Tesli). Najprościej rzecz ujmując, należy zacząć od mikrofonu, następnie miksera dźwiękowego znajdującego się w budynku radia, skąd dźwięk przekazywany jest poprzez procesor dźwiękowy, obrabiający go na odpowiedni format cyfrowy. Co się z nim dzieje dalej? To brzmi już czytelniej – jest wysłany łączem światłowodowym do nadajników radiowych, gdzie następuje zamiana sygnału cyfrowego na analogowy. Radio Olsztyn wysyła swój program do trzech nadajników ultrakrótkofalowych – w Olsztynie, Jagodniku na Wysoczyźnie Elbląskiej i w Miłkach koło Giżycka.

Warto powiedzieć jeszcze, czym jest nadajnik radiowy. Jest to urządzenie elektroniczne służące do wytwarzania energii elektromagnetycznej wielkiej częstotliwości, przystosowanej do celów łączności za pośrednictwem fal radiowych. Nadajnik składa się z generatora drgań elektrycznych, wzmacniaczy wielkiej częstotliwości, wzmacniaczy małej częstotliwości, modulatora (modulacja) oraz urządzeń pomocniczych (na przykład zasilacza, urządzeń rozrządczych, systemu antenowego). W zależności od częstotliwości przebiegu nośnego oraz długości fali radiowej rozróżnia się nadajniki: długo-, średnio-, krótkofalowe oraz – najczęściej spotykane – ultrakrótkofalowe. W zależności od przeznaczenia rozróżnia się nadajniki – m.in. – radiofoniczne, telewizyjne, radiokomunikacyjne i radiolokacyjne. Nadajniki radiowe w chwili obecnej pracują w sposób analogowy i z tego powodu mówimy, że nasze odbiorniki są analogowe. W skrócie zatem fale radiowe mogą nieść sygnał analogowy lub cyfrowy – co będzie zapewne niedaleką przyszłością.

Zatem fale radiowe jak fale jeziora płyną gdzieś jedna za drugą. Mogą nieść różne wiadomości, czyli sygnały. Ich znaczenia nie sposób przecenić. Ratują życie, informują, bawią. Każdy, bo każdy przecież słucha radia, wie to doskonale. Najpiękniejszym chyba



określeniem radia jest „teatr wyobraźni”. To właśnie dzięki falom radiowym nasza wyobraźnia pracuje, rozwija się, a z nią słuchacz. Może brzmi to górnolotnie (bo tak właśnie fale się unoszą), ale tego nie można wykluczyć... Wierni słuchacze Radia Olsztyn wielokrotnie informowali nas o tym, jakie wrażenia daje słuchanie radia. A to wszystko dzięki tym niewidocznym, tajemniczym falom.

Robert Lesiński

Fale, fale...

Czy fale jeziora Mikołajskiego mają coś wspólnego z falami radiowymi?... Na tak zadane pytanie mam spróbować odpowiedzieć. Z technicznego punktu widzenia (o czym pisze inż. Norbert Aksler) – nie. Ale na szczęście nie tylko technika decyduje o naszym postrzeganiu „świata dookolnego”, jak napisał kiedyś Erwin Kruk. O związkach Radia Olsztyn z falami jezior można mówić i pisać długo. Od lat jesteśmy z mikrofonami tam, gdzie żagle łopoczą, a splewik się kołysze.

Przed prawie dwudziestu laty nasze muzyczne logo (tzw. jingle) było zbudowane na piosence *Na całych jeziorach ty*, znanej onegdaj z wykonania Teresy Tutinas czy Kaliny Jędrusik, dziś kojarzonej przez młodzież z Kasią Nosowską. Historia powstania tej piosenki jest bardzo ciekawa, tak jak i obecność nad mazurskimi jeziorami jej autorki – Agnieszki Osieckiej. I właśnie ten kontekst – piosenka o jeziorach (powstała nad naszymi jeziorami) – skłonił red. Andrzeja Śleszyńskiego do stworzenia owego jingla, co zresztą Radio trochę kosztowało, bowiem o swoje upomnieli się spadkobiercy A. Osieckiej. Piszę o tym, bowiem to może być najprostszym dowodem związków Radia Olsztyn z jeziorami, wodą i wszystkim tym, co ona niesie. A co niesie? Nie tylko wakacyjny relaks i rekreację tysięcy naszych i przyjezdnych. To, co nad wodą, to także swoista „mówiona literatura”. Każdy, kto spędził w Mikołajkach, Giżycku, Węgorzewie czy Rucianem letni wieczór, spotkał niejednego mazurskiego Sabale, nasłuchał się opowieści, które rozbudzają wyobraźnię, choć wszystkie są podobno „najprawdziwszą prawdą”.

My (z mikrofonami i bez) przeżyliśmy tam wiele chwil, nasłuchaliśmy się, nagadaliśmy, a co najważniejsze – nagraliśmy – niejedną audycję, zrobiliśmy niejedną relację.

To nie przypadek, że razem z wakacjami wprowadzamy tzw. letnią ramówkę – zmieniamy nasz „rozkład jazdy” tak, by być na całych jeziorach. Co najważniejsze – chce tego słuchacz, a my mamy z tego frajdę. Każdy z dziennikarzy, nawet jeśli nie żegluje i nie wędkuje (są i tacy!), lubi tę atmosferę. A jeśli pracuje się, będąc „na fali”, jeśli jest to przyjemne, to efekt jest zauważalny – w tym przypadku słyszalny. Nie zdradzę tu żadnej tajemnicy, że wśród nas są tacy, którzy zrobili świetne audycje, choć nie wiedzą, czym różni się szot od kila (to terminologia żeglarska), czy też wobler od twistera (a to hasła znane każdemu wędkarzowi). Wystarczy mieć warsztat i wrażliwość. Na wrażliwość słuchaczy można liczyć. Przykłady można mnożyć. Nasza „flagowa” letnia audycja *Tawerna Radia Olsztyn* to informacje i porady, a ze strony słuchacza miły dla nas odzew. Pamiętam, jak telefonował do nas kiedyś żeglarz ze Śląska pływający w okolicy Sztynortu. Opowiadał ze wzruszeniem o psie – jego najlepszym letnim przyjacielu, który podczas sztormu wypadł za burtę. Zwierzak znalazł się po dwóch dniach, ale to doświadczenie dla właściciela było tak wielkie, że błagał wręcz, byśmy przekonywali słuchaczy do kupowania psom specjalnych kamizelek. Po emisji audycji ponownie telefonował z podziękowaniami, bo, jak podkreślał – „tylko tak można wpływać na ludzi”. To bardzo cieszy, jest wręcz budujące. Fale dobrej energii płynące od odbiorców naszych audycji to jak fale mazurskich jezior, a płyną do nas niczym fale radiowe – niezauważalnie, ale skutecznie, docierając.

Wojciech Ogrodziński

Popłynęli koledzy w rejs...

Było to latem 1994 roku. W wiosce żeglarskiej w Mikołajkach Radio Olsztyn zorganizowało letnie studio. Dwóch facetów siedziało przy kufelku. Jednym z nich był Krzysiek Kosiński, współwłodarz wioski żeglarskiej, drugim wyżej podpisany. Zastanawialiśmy się, jak spopularyzować Mazury wśród braci dziennikarskiej. Na początek wymyśliliśmy regaty radiowców, które wygrała... załoga Żagli z Igozem Rubinkowskim. Oprócz rozgłośni publicznych Polskiego Radia wystartowała Zetka i ostrołęckie Radio Oko. Rok następny (1995) z kilku powodów był przełomowy. Regaty radiowców przekształciliśmy w Otwarte Żeglarskie Mistrzostwa Polski Dziennikarzy. A ponadto przyłączył do nas Jurek Iwaszkiewicz, stając się od razu komandorem regat.

Wspominam o tym nie tylko po to, by wskazać ojców założycieli imprezy. Ważniejsze jest to, iż kilka osób, które los zetknął wówczas przypadkiem (mazurskim), współpracuje zgodnie do dziś, co widać, słysząc i czuć. Jerzy Iwaszkiewicz nadal komandoruje, a czasem komenderuje. Krzysiek Kosiński od 10 lat wioskę żeglarską ogląda z pokładu Chopina – największego żaglowca na Mazurach, ale nadal jest niezawodny, zwłaszcza w sytuacjach nadzwyczajnych. Basia Ostojka, która jest z nami od trzecich lub czwartych

mistrzostw, tak polubiła ich organizację, że poświęca temu zajęciu niemal cały rok. No i wreszcie Henio Małąg, komentator, który od kilkunastu lat tłumaczy widzom i uczestnikom, na czym polega żeglarstwo i czym się różni od jachtingu. Dzięki niemu wiemy, dlaczego pływamy w smrodach, siedzimy jak na wersalce albo wjeżdżamy komuś na konstrukcję.

W tym roku żeglarskie Mistrzostwa Polski dziennikarzy odbędą się po raz dwudziesty. Jedynym uczestnikiem wszystkich dotychczasowych regat jest Mirek Idźkowski, który zdążył w tym czasie dopłynąć do radiowej emerytury.

Można zapytać: po co nam to było? Dwadzieścia lat temu Mazury były przaisne, zatłoczone. I bardzo drogie. Drogie pozostały, ale dzisiaj o wiele łatwiej i taniej jest jacht wyczerterować. Pojawily się mariny i przystanie, hotele, pensjonaty. No i konkurencja w regionie. Zmienił się nasz stosunek do natury i żeglowania. Nie zawsze na korzyść, co prawda, ale Mazury w sposób oczywisty zyskały. Są bezpieczniejsze i bardziej gościnne. A że bardziej merkantylne? Coś za coś.

Czy dziennikarskie regaty, od dwudziestu lat przyciągające w sierpniu do Mikołajek setki żurnalistów, przyczynily się do tych przeobrażeń? Nie mam wątpliwości. Tak jak nie mam wątpliwości, że i Radio Olsztyn odegrało w tym swoją rolę, organizując przez kilka lat wokół mazurskich jezior Letnie Studio.

Podczas dziennikarskich regat promowano bezpieczeństwo na wodzie, popularyzowano polskich żeglarzy i żeglarskie wyczyny. Gośćmi dziennikarzy byli: Karol Jabłoński, Mateusz Kusznierewicz, Roman Paszke, Tomasz Cichocki. Podczas mistrzostw promowaliśmy książki o żeglarstwie w różnej postaci: Krystyny Chojnowskiej-Liskiewicz, Tadeusza Ostojkiego, Władysława Lipeckiego, Wojciecha Kuczkowskiego. Regaty były okazją do zaprezentowania nowych technologii i jachtów. Mało kto pewnie pamięta, ale to właśnie w czasie mistrzostw dziennikarzy zademonstrowano jachty w kształcie kota.

Wiele zespołów muzycznych wykorzystało swą szansę, występując podczas mistrzostw w Mikołajkach. A Zbigi-Band zrół się z imprezą tak bardzo, że nikt nie wyobraża sobie sierpniowego spotkania bez ich występu. Do historii i legendy Mistrzostw przeszedł wspólny występ Zbigi-Bandu i Jurka Porębskiego, tego od kultowej szanty szuwarowo-bagiennej *Gdzie ta keja*. A ponieważ wszystko się gdzieś zaczyna i od czegoś bierze początek, dodam, że tytuł tych nostalgicznych wspominek wziął się z piosenki Jurka Porębskiego. Ale tak jest, gdy fale radiowe pokrywają się z falami jeziora Mikołajskiego, wbrew temu, co uważa mgr inż. Norbert Aksler, ale za to być może w zgodzie z zasadą nakładania się fal. Ta zasada, jak wiemy, mówi o tym, że jak się fale nakładają, to może dojść do zjawiska wzmocnienia. Tak jak w opisywanym przypadku.

PS:

1. Nasze zasługi doceniono w 2005 roku, przyznając Radiu Olsztyn Nagrodę im. Leonida Teligi za popularyzację żeglarstwa.
2. XX. Otwarte Mistrzostwa Polski w Żeglarstwie odbędą się w Mikołajkach w dniach 9-11 sierpnia 2013 roku.



Urszula Witkowska Emgiella

Mgła. W zasadzie nie było widać nic poza.

Szła na pamięć, pewnie stawiając krok za krokiem.

Już dawno zdjęła buty na niskim obcasie, które teraz stukotałyby miarowo o kocie łby uliczki.

Gdyby chciała, mogłaby zamknąć oczy.

Nie odczułaby różnicy.

Dla jasności – nie płakała. Nawet nie miała takiego zamiaru. I nie było jej wszystko jedno. Kiedy świat się zawalił, stała właśnie na przystanku autobusowym i czekała na trzydziestkę. Pewnie dlatego zorientowała się dopiero po chwili. Na przystankach autobusowych zawsze i wszystko wydaje się nie w porę.

- To był moment

powie później, na przyjęciu u Baronostwa, w sali bankietowej domu przy Głównej Ulicy. Przy Głównej, bo jedynej. I zamilknie na chwilę, by ciszą podkreślić powagę sytuacji, a później spojrzy znacząco na zebranych. Tak właśnie zrobi.

A kiedy będzie tam wchodzić, taka przesycona wilgocią mgły, taka zdyszana lekko i odrobinę zaskoczona, kiedy potknie się na drugim schodku,

zobaczywszy ICH u szczytu schodów, kiedy dygnie niezdarne i powie

- Dzień... yyy... dobry wieczór!

i zarumieni się zanadto - Jest mi szalenie miło gościć u PAŃSTWA, to znaczy BARONOSTWA... YYYYYyyy cóż za urokliwy wieczór!

kątem oka zobaczy jakiś ruch w zakamarku

POD

ramionami schodów.

A chwilę później ONA – Baronowa – strzelista i chuda, w poszarpanej, szarej sukni – roześmieje się perłście i prawie dobrodusznie skłoni się ku niej, która właśnie weszła. Na głowie będzie miała kapelusz jak zdechłe ptaszysko, którego woń obejmie je obie szczerze, niczym ramiona matki, by mogło się okazać później, że nie wypuści ich już nigdy.

A ON – Baron – pękaty i tłusty w dziwnym fraku, w którego butonierce dogorywa wspomnienie goździka, teraz już bardziej zespolonego zgnilizną z materiałem niż tworzącego własny byt, kuriozalnie machnie dłonią, lekko kłaniając się w jej stronę.

ONI – Baronowa i Baron – delikatnym skinieniem głów wskażą jej wejście do sali bankietowej. I na ich nieme zawołanie pojawiają się jakby spod ziemi dziwni służący, którym od dawna już nikt nie płaci, bo przecież nie ma po co. A ona pozwoli się prowadzić. Wejdzie, nieco przestraszona, ale pełna wdzięczności i w pierwszej chwili oślepi ją jasność. Zakłopotana dygnie jeszcze w drzwiach, w ten sam niezdarly sposób i usiądzie na małym, za małym plastikowym krzeselku, zagubionym (trochę jak ona) pośród innych zbyt małych pokraccznych krzesełek ustawionych przy wielkim dębowym stole.

- Prawie wszystkie są puste...

Pomyśli później.

- Jaskrawe. Powykrzywiane. Brudne.

Będą stać rzędami po obu stronach pięknego stołu.

- I czekają – dopowie na głos.

A ONI – Baronowa i Baron – Baronostwo, kiedy zacznie się uczta, udawać będą, że wszystkie te krzeselka są zajęte.

Konwersacja jak najbardziej poprawna!

O nie! Nikt z zaproszonych nie może się nudzić!

Oczywiście, pogoda dziś była wyśmienita.

My z Haroldem planowaliśmy małe polowanie, ale wiedzą państwo...

tak trudno teraz o dobrą zwierzynę...

Ależ oczywiście, proszę się nie krępować!

Ściany tej sali wyklejone będą gazetami. Szczelnie i szaro. Będą straszyły duże czarne plamy fotografii pomiędzy tekstem, przypominające aż zanadto o dawnym porządku rzeczy. I będą, jak zawsze u Baronostwa, dwie uczyty wieczorne. Ta we wnętrzu, która pozostanie nietknięta, ta centrstołowa. Jej nie wolno naruszać. Nawet myślą. I ta druga, ta na obrzeżach, ta namacalna...

Nim jednak tam wejdzie, usiądzie zrezygnowana na czymś, co mogło być niegdyś rzeczywistością, a teraz nie jest już niczym, co miałoby jakikolwiek kształt i nawet nie jest podobne. Podciągnie rękoma kolana pod samą brodę i schowa w nie

twarz. I będzie tak siedziała przepelniona wyczekiwaniem, bo nadal nie będzie jej wszystko jedno. I pierwszy raz, właśnie wtedy, pomyśli, że może to jednak prawda.

Nie będzie umiała nawet odróżnić nocy od dnia.

Powietrze ma zawsze taką samą temperaturę.

Wiatr od dawna już nie wieje.

Zapadnie się w sobie i może nawet przez sekundę zwątpi. Ale właśnie wtedy usłyszy ICH.

Za tym dźwiękiem podejdzie, jak za zapachem świeżego chleba, bosymi stopami po gruzach, a kiedy będzie już wystarczająco blisko, zobaczy ten potężny i wciąż jeszcze budynek. Mimo że bez połowy dachu, że okna dawno już przestały być oknami, że ściany gdzieś nadgryzione wspomnieniem, zobaczy w nim, w bryle, całość, istnienie. Miejsce do wypełnienia. Będzie pragnęła zostać zaproszona. I dowie się z przekrzywionej tabliczki nad drzwiami, że dom Baronostwa ma nazwę, adres, mieszkańców. Nie dowie się jednak, że dom Baronostwa, ten przy Głównej Ulicy, Głównej, bo jedynej, poza nazwą będzie miał jeszcze tajemnicę. Pod schodami. W cieniu. W cieniu Baronostwa.

I ona właśnie odkryje, ale nieco później, że chcieli mieć dziecko.

Bo dziecko brzmi tak normalnie. Ale coś im nie wyszło. Ono, bo jeszcze nie zdążyli nadać mu nazwy, Ono miało inne poglądy.

Ono w ogóle miało poglądy.

Ono próbowało krzyżeć.

Ono nie dygało.

Ono spóźniało się na kolację.

Ono śmiało powiedzieć, że ptaszysko jest martwe i śmierdzi.

Z pierwszym Ono było najtrudniej. Jeszcze je kochali. Drugie Ono było już tylko wielkim zawodem. Przy piątym przestali liczyć. Aż do tego ostatniego. I ona znajdzie to Ono, to, które uciekło nim zrobili z nim to, co z pozostałymi, co z wszystkimi, którzy już nie wypełniali sobą plastikowych krzesełek, co z całą resztą świata. Ich świata na wyłączność.

Ona je znajdzie podczas tej pierwszej wizyty, kiedy kątem oka zauważy ruch pod schodami. Tej nocy, po uczcie wieczornej, kiedy już dom przy Głównej Ulicy ucichnie, zejdzie niepewnie i...

Nim to jednak nastąpi, dokładnie w chwili, gdy, siedząc na gruzach, usłyszy ICH i odnajdzie dom przy Głównej Ulicy, Głównej, bo jedynej, nie odważy się przejść przez szczelinę między skrzydłem drzwi a framugą. Poczeka do rana. Usiądzie pod ścianą, przylgnie do niej i będzie wąchać, nasłuchiwać. Będzie długo myślała. Będzie chciała podjąć decyzję.

Ale teraz, teraz dopiero idzie.

Co więcej, teraz jeszcze nawet nie wie, czy tam trafi.



porcelana – Lenyola Pietraszewska





się zachodnich prowincjach Niemiec. Pionierami kapitalistycznych form produkcji również na naszym gruncie byli kupcy żydowscy. W listopadzie 1878 r. otwarty został pierwszy w Olsztynie tartak o charakterze przemysłowo-handlowym Emila Frankensteina i Rudolfa Raphaelsohna. Zapowiedź nasilenia ruchu na Łynie dała asumpt do uporządkowania zasad dotyczących spławu drewna. Przepisy obejmujące Łynę na odcinku od jez. Łąńskiego aż do słuzy flisackiej koło zamku, gdzie zaczynały się tereny Woli Zamkowej, ogłoszone zostały pod koniec października 1878 r. Po spełnieniu określonych warunków każdy zajmować się mógł spławem, podlegały mu też wszystkie gatunki drewna. Spław odbywać się mógł od zejścia lodów na rzece do powtórnego jej zamrznięcia, jedynie w lipcu na odcinku od słuzy w Rusi do zamku był on zakazany. Jedną tratwę mogła zostać sporządzona najwyżej z 200 sztuk dłużyc solidnie ze sobą połączonych, maksymalne jej wymiary wyznaczono na 500 m długości, 3 m szerokości i najwyżej 80 cm grubości. Jednorazowo przepływać mogło rzeką do 1000 sztuk dłużyc. Między poszczególnymi taflami należało utrzymywać ok. 75-metrowe odstępy. Po dotarciu do miejsca przeznaczenia tratwy powinny być natychmiast rozebrane, a drzewo wyciągnięte na brzeg – dla drewna opałowego pozostawiano na to góra 3 dni, dla dłużyc aż 5 dni. W żadnym wypadku spławione drewno nie mogło blokować wolnego przepływu rzeką innych tratw. Było to, jak się wydaje, głównym powodem urządzania portów drzewnych przy usytuowanych nad Łyną tartakach. W Olsztynie wykopane przy brzegu rzeki baseny posiadały początkowo oba zakłady Raphaelsohnów oraz tartaki Orłowskiego i Hermenaua. Przedsiębiorca wysyłający tratwę wyznaczyć musiał jej kierownika, który odpowiedzialny był za prawidłowy przebieg spławu. Na każdą tratwę z dłużycami powinno przypadać ponadto dwóch flisaków, na każde 300 metrów sześciennych szczap i drągowizny – 1 flisak.



Olsztyn nad Łyną

Nadzór nad spławem drewna na Łynie rejencja królewiecka sprawowała za pośrednictwem inspektorów rzecznych oraz przydzielonych im urzędników. Przedsiębiorcy uzyskać musieli dla każdej tratwy pozwolenie, wypełniając stosowny formularz. Zawierał on dane o objętości, miejscu pochodzenia i przeznaczeniu drewna, czasie, w jakim tratwa musiała być rozebrana, oraz dane personalne flisaków. Obsada tratwy uważać musiała na wszelkie szkody, jakie powstać mogły na brzegu przy omijaniu przeszkód wodnych oraz podczas noclegów. Skrupulatną dokumentację prowadzono również ze względów sanitarnych. Flisacy przemierzali często dalekie okoliczności. Bywało, że przywozili ze sobą choroby zakaźne. W roku 1894 flisak Maruński z Gryżlin powrócił do domu zarażony cholerą, a jego towarzysz, Barczewski ze Stawigudy, zmarł podczas podróży powrotnej nie zobaczywszy nawet swej rodzinnej wsi. Obaj oni nabawili się choroby gdzieś między Welawą a Królewcem. Zatrudnienia przy spławie szukali przede wszystkim mieszkańcy podolsztyńskich miejscowości. Niektóre wsie, takie jak położona w pobliżu jeziora Kielarskiego i Windugi Ruś, uchodziły za prawdziwe „wioski flisaków”. Większa część tratw płynęła do położonej u ujścia Pregoty stolicy prowincji. Miało tak pozostać również i w XX stuleciu. Mężczyźni zabierali ze sobą rowery, na których wracali potem w rodzinne strony. Wszystko skończyło się jak nożem uciął w pamiętnym 1945 roku.



Adam Płoski

Zabytki hydrotechniki w krajobrazie

Człowiek od wieków próbuje wykorzystać do swoich celów wodę, co odbywa się z użyciem specjalistycznych budowli i urządzeń technicznych. Warmia i Mazury jako kraina bogata w wodę obfituje także w szereg tego typu konstrukcji, z których część zachowała się do dziś i stanowi wartościowe zabytki, często decydujące o atrakcyjności krajobrazu kulturowego.

Regulowanie i poskramianie

Najbardziej znanym zabytkiem regionu Warmii i Mazur związanym z wodą (hydrotechnicznym) jest unikalny na skalę światową Kanał Elbląski (do 1945 r. zwany Oberlandzkim), w obrębie którego występuje wiele zachowanych, oryginalnych rozwiązań technicznych, na czele z pochylniami wykorzystującymi platformy do transportu statków po lądzie. Kanał łączy jeziora (m.in. Drużno, Szeląg, Jeziorak) i żeglowne odcinki rzek (m.in. Elbląg, Nogat, Wisłę) z Zalewem Wiślany i Morzem Bałtyckim. Interesujący, także pod względem krajobrazowym, jest mniej znany Kanał Mazurski, przebiegający przez tereny powiatów węgorzewskiego i kętrzyńskiego, a także przez obszar dzisiejszego Obwodu Kaliningradzkiego. Jego budowę rozpoczęto w 1911 r., kilkakrotnie wznawiając, jednak prac nie ukończono, a po 1945 r. – mimo zaawansowania w 90% – nie kontynuowano. Kanał miał łączyć Wielkie Jeziora Mazurskie przez Zalew Wiślany z Morzem Bałtyckim. Także w jego obrębie odnajdujemy

oryginalne rozwiązania techniczne, w tym dziesięć żelbetowych śluz komorowych, za pomocą których zniwelowano różnicę poziomu wód. Warty uwagi jest także Kanał Jagielloński, jedna z najstarszych tego typu budowli inżynierskich w Polsce, która miała za zadanie połączyć rzeki Elbląg i Nogat. Jego budowę ukończono około 1495 r. w rezultacie prac wodno-melioracyjnych prowadzonych przez Zakon Krzyżacki. W późniejszych latach kanał modernizowano. Na przełomie 1897 i 1898 r. wzniesiono u wejścia Nogatu do kanału (w pobliżu wsi Bielnik) dwuskrzydłowe wrota ochronne, zwane też wrotami bezpieczeństwa lub przeciwpowodziowymi, co związane jest z ich funkcją, tj. zabezpieczeniem przed powodzią i utrzymaniem odpowiedniego stanu wody (ochrona przed splywem wód od strony rzeki). Wrota zbudowane zostały na stalowej ramie, obite blachą i nitowane oraz osadzone na betonowych fundamentach, ujętych ceglano-granitowymi przyczółkami. Pierwotnie otwierane i zamykane były ręcznie. Obecnie są nieużytkowane i pozostają otwarte. Warto zwrócić także uwagę na niewielkie kanały – Elżbiety i Kiermasz – prowadzące przez obszar gminy Purda, które w okolicy wsi Silice krzyżują się, tworząc oryginalny obiekt hydrotechniczny.

Zdecydowanie częściej woda była wykorzystywana jako siła napędowa do produkcji. Naturalne źródło energii danej przez przyrodę przetwarzano na potrzeby rzemiosła i przemysłu. Z tego typu „silników wodnych” korzystały głównie młyny, których znaczenie dla gospodarki przez długie wieki było nie do przecenienia. Na ich potrzeby stworzono kilka rodzajów kół wodnych (później wypartych przez wydajniejsze turbiny), które przenosiły energię, wprawiając w ruch różne urządzenia w młynie lub olejarni, tartaku, kuźnicy i papierni. Budowa młyna wiązała się z powstaniem w jego sąsiedztwie funkcjonalnie z nim związanych innych urządzeń hydrotechnicznych,



1. Wodociągowa wieża ciśnieniowa w Białej Piskiej wzniesiona w 1928 r. Fot. Adam Płoski

2. Most zwodzony nad rzeką Tyną w Jeziorze (gm. Markusy) wzniesiony w 1895 r. Fot. Adam Płoski

3. Kolejowa wieża wodna w Korszach (1915 r.), z kulistym zbiornikiem typu Klönne. Jedna z kilku tego typu w Polsce. Fot. Adam Płoski

w tym m.in. jazów, śluz i grobli. Tak też było w przypadku Pajtuńskiego Młyna (gm. Purda), gdzie już w średniowieczu powstał młyn na rzece Kośna. Istniejący do dziś w tym miejscu młyn pochodzi z XIX w., zaś jego wyposażenie i urządzenia z lat 20-tych XX w. (m.in. turbina i tablica sterująco-pomiarowa firmy Siemens). Część budynku wykorzystywana jest obecnie jako mała elektrownia wodna. W niedalekiej odległości od Pajtuńskiego Młyna znajduje się młyn w Patrykach, ciekawy ze względu na jedyne już dziś na Warmii i Mazurach młyńskie koło podsiębierne (z l. 80-tych XIX w.). Interesujący zespół zabytków techniki odnajdujemy także w Potrytach (gm. Jeziorany), gdzie w ramach zespołu folwarcznego zachowały się napędzane pierwotnie siłą wody tartak i młyn z towarzyszącymi mu urządzeniami hydrotechnicznymi oraz most.

Energię drzemiącą w wodzie wykorzystywano także, budując elektrownie wodne. Na terenie województwa odnajdujemy kilka zachowanych przykładów tego typu budowli: na rzece Pasłęce we wsi Pierzchały (gm. Płoskinia), na Węgorapie w Ołowniku (gm. Budry), na Łynie w Lidzbarku Warmińskim oraz w Olsztynie. Oprócz nietypowego, bo wymuszonego przez pełnione funkcje, posadowienia budynków bezpośrednio „na rzece” wyróżniają się one częściowo zachowanym oryginalnym wyposażeniem technicznym. Malowniczo zlokalizowana jest, wzniesiona w 1907 r. u zbiegu Łyny i Wasąga, elektrownia olsztyńska. W jej skład wchodzi urządzenia i budowle hydrotechniczne (m.in. zbiornik retencyjny, grobla ziemna, upusty), w tym budynek siłowni energetycznej (turbinoznia z urządzeniami). Nadal zachowane są pochodzące z lat 20-tych XX w. historyczne elementy wyposażenia, w tym turbiny. Hydroelektrownia łączyła się za pomocą linii przesyłowych z centralną stacją elektryczną, gdzie transformowano prąd stały dla odbiorców indywidualnych i trakcji tramwajowej.

Wodociągi, wieże, mosty

Od początków istnienia miast problemem była dostępność i jakość wody. Sytuację polepszały budowane wodociągi, które pierwotnie funkcjonowały jako system kanałów lub rur (drewnianych i ceramicznych). Dopiero jednak wodociągi budowane w XIX i XX w. zrewolucjonizowały zaopatrzenie miast w wodę (wodociąg ciśnieniowy zastąpił wodociąg grawitacyjny), znacząco poprawiając jakość życia mieszkańców. Inwestycjom tym towarzyszyło zakładanie centralnego systemu kanalizacyjnego. Region Warmii i Mazur nie pozostawał tu w tyle. Powstające lokalne przedsiębiorstwa komunalne były na wskroś nowoczesne pod względem rozwiązań technicznych i technologicznych, nie ustępując analogicznym przedsiębiorstwom funkcjonującym w całej ówczesnej Europie. Ich istnienie było wyznacznikiem cywilizacyjnego poziomu i prestiżu miasta. Wraz z zakładami wodociągowymi (także kolejowymi) pojawiły się wówczas w krajobrazie wieże wodne, którym w większości towarzyszyły stacje pomp oraz mniejsze obiekty infrastruktury, np. hydrant lub żuraw wodny (zachowany choćby na stacji PKP Olsztyn Główny). Dziś wieże, często nieużytkowane, stanowią symbol minionej epoki industrializacji, która na nowo aranżowała krajobraz. Wśród nich odnajdujemy wiele interesujących budowli, zarówno pod względem architektonicznym jak i technicznym. Powszechnie wznoszone były wieże ze zbiornikiem cylindrycznym, w typie „grzybka” (głowica szersza niż trzon, przekryta stożkowym dachem) oraz kolumnowym. Wśród ciekawszych przykładów wymienić można wieżę w Elku, Sępólnu, Białej Piskiej i Giżycku (tu z racji obecnego wykorzystania jako punkt widokowy) oraz w Dąbrównie i Korszach. Dwie ostatnie prezentują unikalny w skali kraju typ wieży ze zbiornikiem otwartym, kulistym typu *Klönne* (od nazwiska konstruktora). Wieże wodne i wodociągi rzadziej wznoszono w ob-



4. Budynek hydroelektrowni w Olsztynie (1907 r.) wzniesiony u zbiegu rzek Wadąg i Łyna. Fot. Adam Płoski



5. Jeden z dwóch mostów kolejowych w Olsztynie (północny, z 1871 r.), za nim widoczne kominy kolejowej stacji pomp (rozebrana w 2010 r.) oraz dawnej pralni garnizonowej. Fot. Adam Płoski



6. Młyn w Pajtuńskim Młynie, gm. Purda. Część budynku (po lewej, obok jazu) wykorzystywana jest obecnie jako mała elektrownia wodna. Fot. Adam Płoski



7. Jedno ze skrzydeł wrot przeciwpowodziowych u ujścia Kanatu Jagiellońskiego do rzeki Nogat. Fot. Adam Płoski



rzebie folwarków i wsi. Dziś ich przykłady znajdujemy we wsi Kajny gm. Jonkowo oraz w Marunach (gm. Barczewo), gdzie siłę pociągową pomp stanowiły woły zaprzężone w kierat.

Powszechnie budowaną od stuleci konstrukcją inżynieryjno-techniczną związaną z wodą są mosty. Występują one licznie na terenie Warmii i Mazur, obrazując przez swą różnorodność (konstrukcji i materiału) zmiany w technice ich budowy. Wśród ciekawych przykładów wymienić możemy gotyckie mosty w Reszlu, mosty z pocz. XX w. w Stańczykach i Kiepojach (gm. Dubeninki), mosty kolejowe w Olsztynie oraz mosty zwodzone. Mosty olsztyńskie, będące symbolem wkroczenia miasta na drogę do nowoczesności, wybudowano w 1871 r. (północny) i 1893 r. (południowy) z czerwonej i żółtej cegły. Oba mosty prezentują się imponująco. Wśród mostów zwodzonych najbardziej znany w regionie jest most obrotowy na Kanale Łuczyńskim w Giżycku, wzniesiony w 1889 r. w celu usprawnienia połączenia miasta z Twierdzą Boyen. Wyróżnia się on oryginalnym rozwiązaniem zwodzenia w bok. Mniej znane tego typu konstrukcje znajdują się w Jeziorze i Dzierzgonce (gm. Marku-

sy) oraz Szopach (gm. Gronowo Elbląskie), zdekompletowany. Most w Jeziorze wzniesiony został w 1895 r. nad żeglowną dawniej rzeką Tyną. Ze względu na swą konstrukcję (ruchome przesłone podnoszone napędem ręcznym za pomocą systemu żurawinowego m.in. z wykorzystaniem kutych łańcuchów) ciekawie prezentuje się w krajobrazie, będąc zarazem przykładem wysokiego poziomu myśli technicznej. Na terenie Żuław spotkać możemy także inne interesujące budowle hydrotechniczne związane z prowadzonymi tu powszechnie pracami melioracyjnymi, tj. przepompownie odwadniające, np. w Różanach (gm. Gronowo Elbląskie), gdzie zachował się budynek z kotłem parowym napędzającym pompę z końca XIX w.

Z wody na przestrzeni wieków korzystano w różnoraki sposób, zarówno w domu, w zakładach rzemieślniczych i fabrykach (także z wody zamrożonej – lodu), transporcie, przy gaszeniu pożarów, jak również do rekreacji. Rozwój techniki spowodował, że rola wielu zabytków hydrotechnicznych sprowadza się dziś do roli świadka i dokumentu rozwoju cywilizacyjnego, co – podobnie jak ich znaczenie w krajobrazie – przemawia za ich zachowaniem.

porcelana – Letycja Pietraszewska



Damian Wesolek

Co widać na drugi rzut oka?

„To Węgrzy mają rację” – pisał Claudio Magris, twierdząc, że Dunaj, wbrew przyjętemu zwyczajowi, nie jest wcale modry, lecz koloru blond. Po czym szybko dodawał: „tak, ale [rzeka] jest jednocześnie na setki sposobów inna”.

Dunaj włoskiego germanisty i pisarza to jedna z tych niewielu książek, które rozpoczynają pewien gatunek, nadając mu jednocześnie spełnioną formę. Gatunek, który lubię nazywać „esejem-rzeką”. Dlaczego nie po prostu esejem „o rzece”? Dunaj staje się głównie pretekstem do opisu wielkiej i małej historii. Nie jest to „traktat hydrologiczny” – rzeka stanowi nić narracji, za którą podąża autor, rozglądając się po obu jej brzegach, pytając ludzi o ich historie, dostrzegając w szczegółach okrucy wielkich wydarzeń z przeszłości.

Książka o Dunaju, pisana prawie 30 lat temu, stała się również wyjątkowa z powodu swojego punktu widzenia. W czasach ugruntowanego zimnowojennego podziału na Zachód i Wschód Europy narracja dzieła swobodnie przekraczała granice, które wobec nurtu rzeki i historii okazywały się jedynie przypadkowymi liniami rysowanymi od niechcienia na mapie. Od jej publikacji rzeczywistość polityczna zdążyła się zmienić. Ale pewne podziały nie znikły – dzisiaj nowy mur wyrasta na zewnętrznych granicach Unii Europejskiej. Mur, który dla niektórych jest jeszcze wyższy niż dawna „żelazna kurtyna”. W polskim tłumaczeniu, dzięki wydawnictwu olsztyńskiej Borussii, ukazuje się właśnie książka, której narracja również podążająca nurtem rzeki przekracza wspomniane granice. *Niemen. Dzieje pewnej europejskiej rzeki* niemieckiego dziennikarza Uwe Rady mierzy się z historią znacznie bliższą naszemu regionowi niż spokojny nurt Dunaju.

Niemen, Memel, Njemen, Nieman, Nioman. Rzeka, przekraczająca dwukrotnie dzisiaj granicę Unii Europejskiej, dawniej stanowiła wschodnią granicę Prus Wschodnich, od wieków płynęła przez wielokulturowy region. Uwe Rada podróżuje wraz z czytelnikiem przez region Niemna nie tylko rowerem czy „pociągiem

przemysłowców”, ale również wsłuchując się w historie żyjących na brzegach rzeki ludzi, z których każdy nadaje jej nurtowi inne imię. Autor, przekraczając niemiecką perspektywę, opowiada nie tylko o dziełach Johanna Bobrowskiego czy Ernesta Wiecherta, ale przypomina również, że Niemen jest „ojcem wszystkich rzek”, mitycznym toposem literatury litewskiej i białoruskiej. Żydzi, Rosjanie, Ukraińcy czy Tatarzy – oni również pojawiają się w książce.

W wielokulturowym regionie opowiada się również historię kultury polskiej. „W dziewiętnastowiecznej Europie nie było niczym szczególnym, że jakiś Polak na Białorusi wychwalał Litwę jako swoją ojczyznę”, pisze o Mickiewiczu. Nie zabrakło również miejsca dla Orzeszkowej, Miłosza czy Czesława Niemena.

Rada, podążając za Magrisem, nie tworzy książki *stricte* historycznej czy przewodnika turystycznego, ale zanurza się w gatunku „eseju-rzeki”. Wielość perspektyw i wiedza pozwala mu na osiągnięcie głębszego spojrzenia. „Na drugi rzut oka, już bardziej wyćwiczony, spostrzec można nad dolnym Niemnem historię – i sprawić, by przemówiła”. To, co widać na drugi rzut oka, stanowi o wyjątkowości tej książki.

Miejmy nadzieję, że to nie ostatnie tłumaczenie Rady na język polski. W kolejce czekają historie Odry i Łaby. W perspektywie autora rzeka staje się symbolem egzystencjalnych pytań o pochodzenie i cel życia. Na swojej stronie (www.uwe-rada.de) pisze, że rzeki z ich nieprzemijalnością, stałym biegiem, początkiem i końcem, stają się sposobem na orientację we współczesnej „płynnej nowoczesności”.

„Dzień był taki pogodny, upalny, Niemen u stóp wysokiej góry toczył się taki błękitny i złoty (...)”, pisała w *Nad Niemnem* Orzeszkowa. Również Niemen Rady, tak jak Dunaj Magrisa, mieni się wieloma kolorami, szumi wieloma głosami wielokulturowego regionu.

Uwe Rada, Niemen. Dzieje pewnej europejskiej rzeki, Olsztyn, Wydawnictwo Borussia, 2013.



Letycja Pietraszewska jest artystką ceramiką mieszkającą i tworzącą na Warmii. Ukończyła studia licencjackie na Wydziale Art and Design z tytułem ceramika na University of Westminster w Londynie. Wyjazd na wymianę studencką na State University of New York w New Paltz rozszerzył jej doświadczenie o dziedzinę designu i pozwolił jej spojrzeć na ceramikę z bardziej praktycznej perspektywy.

W swojej pracy artystka chce zachować nowoczesne, dynamiczne podejście do ceramiki, ale jednocześnie nie przekreśliła tradycji. Różnorodność jej prac, od dekoracyjnych przez rzeźbiarskie po przedmioty użytkowe, odzwierciedla jej chęć poznania wszechstronności, jaką daje tworzenie w glinie.

**Zdzisław Lomperta****Złota Jabłoń**

Jestem połową jabłka
 Od Złotej Jabłoni
 Wiele lat smakowałem Tobie
 Był Eden i jedność
 Miód i mleko piliśmy
 Z dzbana miłości
 Byliśmy nienasyceni
 Pragnienia nosiliśmy
 Do siebie
 Codziennie i codziennie
 Pożądanie nam rosnęło
 Nocami i dniami
 Mało nam było
 Siebie
 Wirowaliśmy w sobie
 I staliśmy się
 Jednym Jabłkiem
 W objęciach
 Północnego wiatru
 Uniesieni
 Różnym zapachem
 W Sadzie Złotej Jabłoni

Moje pagórki

Moje pagórki
 Nad moim jeziorem
 Kocham je
 Przychodzą do mnie
 Czasem czekają
 O ulubionej porze
 Gdy Słońce krwawi niebo
 Zmęczone wędrówką po niebie
 To ogień zachodni mruży powieki
 Światło rozkłada na pagórkach
 Przyjemny chłodek roznosi
 Pragnienie wstaje
 Pagórek za pagórkiem
 Drży w dłoniach
 Już w niebie wybrzuszone są

Piotr Bierżyński**Mapa**

w rozmazanej przestrzeni
 kolorem woskowej świeczki
 tworzę mapę

zawracam rzeki
 przestawiam góry
 neguję granice

jak demiurg
 mapę spalę
 albo zjem

to bardziej spektakularne

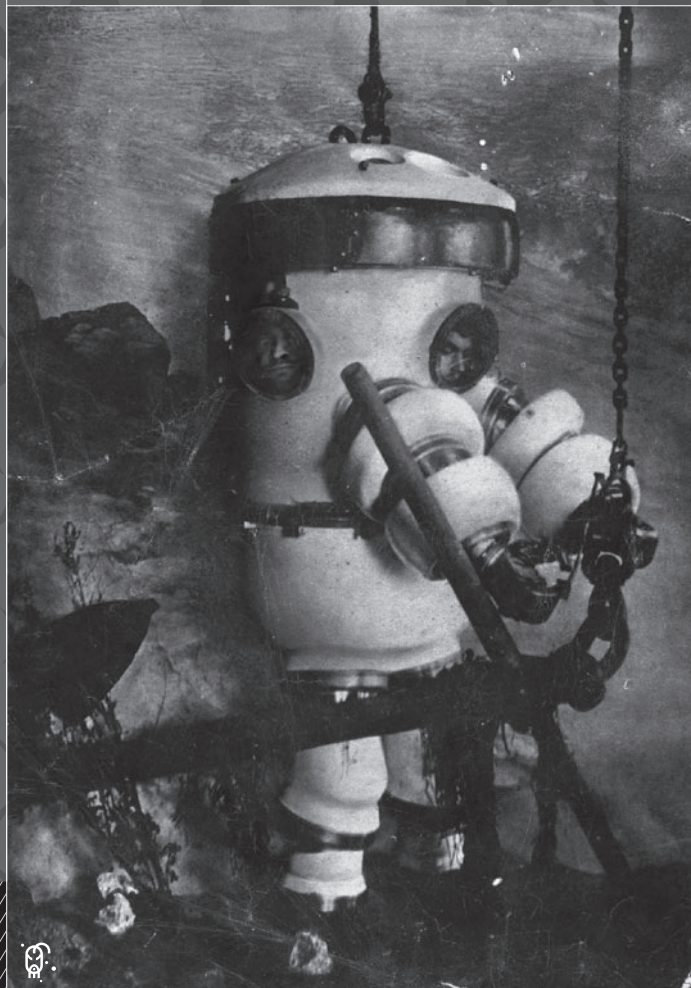
Bożena Kraczkowska**Malachitowe lasy**

Zabiorę cię z tej ulicy, gdzie tylko deszcz i mrok,
 i wyprowadzę z piwnicy po wielkich czarnych schodach.
 Zabiorę twój cień ze ściany i schowam smutny wzrok,
 a potem ci obiecuję, że nigdy nie będziesz sam.

Malachitowy las pokażę ci i sady.
 Tam rośnie w nieskończoność malachitowy czas.
 I nawet samo niebo pochyli się nad nami
 i wszystko będzie dobrze w malachitowych snach.

A jeśli mi nie uwierzysz, a jeśli nie zechcesz mnie.
 Nawet, gdy mrok wybierzesz i deszcz... nie oddam cię.
 Wezmę ze sobą smutki, zejść schodami w dół
 i ze szklaneczką wódki marzenia podam na stół.

I purpurowy las pokażę ci i sady,
 tam nie przemija czas, nie przemijają sny.
 I purpurowe niebo pochyli się nad nami,
 i jasność się pochyli w opadające mgły.



Waldemar Kontewicz

laureat WAWRZYNU 2011

– Literackiej Nagrody Warmii i Mazur Nagrody Czytelników

Roskopf

Szczupaki łowiliśmy w Dunajcu zawsze w tym samym miejscu – na Tłokach. Te drapieżne ryby wzbudzały we mnie taki sam strach, jak rekiny w opowiadaniach Ernesta Hemingwaya. Stałem w pogotowiu z podbierakiem, kiedy bambus wędki wyginał się w kabłąk niczym szyja chudej szkapę węglarza z ulicy Sienkiewicza. Wołałem stać z boku wydarzeń i obserwować świat.

W lecie jezioro Rożnowskie wyglądało niczym Atlantyk na mapie ściennej w szkole podstawowej koło starego cmentarza. Zarzucaliśmy wędzidła leszczynowe na okonia i wpatrywaliśmy się w lustro wody z nadzieją, że zobaczymy podwodną wieś z kaplicą, którą pokryło nowo powstałe jezioro Rożnowskie w 1941 roku. Starsi gospodarze z części zatopionych Zbyszyc szemrali, że w nocy podwodny Chrystus woła o pomoc dla ofiar tyfusu sprzed 200 lat i dla Arian osiadłych w XIX wieku. Nie można było przejść obojętnie obok próśb. Należało wykrzyknąć uczynek i następnego dnia go zrealizować albo pozostać w domu po zachodzie słońca. Mówili również, że koń pojony w jeziorze w pobliżu zatopionej kapliczki nigdy nie zachoruje. A okonie wyłowione z miejsc bożych task należało wrzucić z powrotem do wody.

Czerwoną łajbą i zwyczajami na wodzie sterował pan Roskopf z ulicy Szujskiego, a nam zostawały pagaje, zarzucanie wędek i wsluchiwanie się w opowieści kolejarza z Nowego Sącza. Roskopf, broniąc Mławy przed hitlerowskim okupantem, został ranny. Kula odbiła się rykoszetem od zegarka tej samej firmy, co jego nazwisko, by usadowić się na zawsze w prawej dłoni. Nasz dowódca nie rozstawał się ze swoim kieszonkowym talizmanem. Sam cesarz FJ1 podarował ten zegarek protoplaście rodu za oddaną służbę na ck parowozie. Roskopf z powodu ułomności fizycznej nie mógł wykonywać pracy maszynisty. Całą miłość do kolei poświęcił dla jej ochrony w SOK-u*.

Do Małpiej Wyspy – górskiej szpicy pośrodku wodnych głębin porośniętej sosnami – docieraliśmy późnym popołudniem z wyłowionymi rybami. A kiedy dym ze smażonych okoni unosił się wysoko ponad wyspę, podpływała do nas patrolująca motorówka ze sławnym sierżantem Zagatą w śnieżnobiałym mundurze sfilmowanym kiedyś przez Polską Kronikę Filmową. Nikt nie miał odwagi

pozostać na wyspie na noc. W młodzieńczej wyobraźni węgorze wychodziły w ciemnościach na ląd i pożerały wszystko na swojej drodze. Miały one długość baśniową i żyły na samym dnie jeziora. Zdarzało się, że zarzuconą przynętę zjadały z całą wędką. Od samego szczytu Małpiej Wyspy osuwały się XIV-wieczne ruiny zamku o jeden milimetr na rok. W nocy roznosił się klekot bociana czarnego, wyjątkowego pośród pospolitych boćków z elementarza Falckiego. Wyspa Skarbów jeziora Rożnowskiego skrywała dużo więcej tajemnic przyrodniczych.

W ferie zimowe pakowaliśmy ciepłą odzież, plecaki, namioty, konserwy z jedzeniem, by wędkować na zamrożonej tafli wody. Jezioro skute lodowymi kajdanami pozwalało dojść do samego środka diabelskich kipieli. Tam, gdzie latem w głębinach tonęło wszystko, wierciliśmy dziurę, przez którą wrzucaliśmy śnięte uklejkę jako przynętę na rożnowskie rekiny. Pod namiotem siadaliśmy na plecakach i kocach wokół małego ogniska. Dzwoneczki na puszkach od konserw miały ostrzegać nas o podwodnych potworach.

Sztuki kluczenia po jeziorze trzeba było się nauczyć. O grubości lodu decydował jego kolor, a pokrywa śnieżna ostrzegała przed dziurami. Śladami świętego SOK-isty podążaliśmy zapatrzeni w głębię sądeckiego oceanu. Każdy oddech niebiesko-białej powłoki jeziora potęgował strach. Odwaga i doświadczenie kolejarza Roskopfa pozwalały zaspokoić młodzieńczą ciekawość. Podczas oczekiwania na złowioną rybę czas wypełniały opowieści z przeczytanych książek.

Na dunajcowej krze pływaliśmy sami od Popradu do ruin zamku. Coroczna zabawa wymagała nie lada ekwilibrystki ruchowej i odpowiedniego doboru łacha lodu. Płynęliśmy po nabuzowanym i rozjuszonym Dunajcu łódką bez żagli, steru i kapitana. Atrakcja pękania kry, albo przeskakiwania na inną bezpieczniejszą, porównywalna mogła być tylko z koncertem Jankiela. Wtedy wszystko współgrało: nasze płuca, powietrze cięte marcowym słońcem, trzaskająca kra, krzyki wpadających do wody i sygnał karetki pogotowia.

Pod mostem Heleńskim półżywych chłopców z Dunajca wciągnął Roskopf. Tak skończyły się moje ostatnie wagary zimowe.

* SOK – Służba Ochrony Kolej.



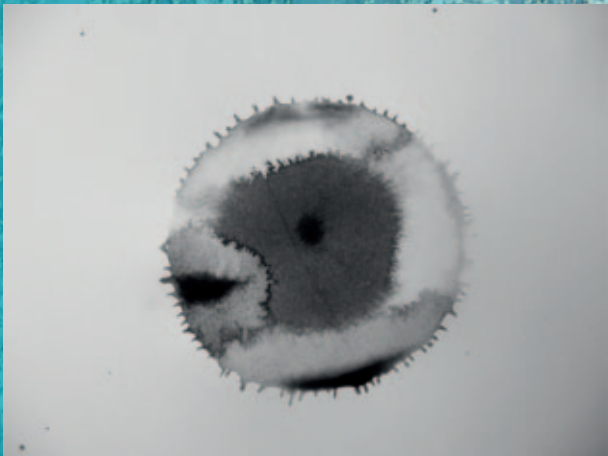
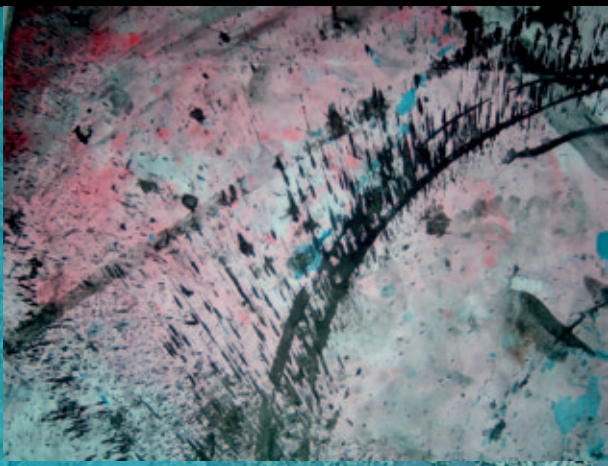
Wiesław Wachowski

Podobnie jak ulotna jest sztuka teatralna, tak nietrwały, mówiący o przemijaniu, jest żywot dzieł performerera. Wiesław Wachowski bawi się instalacjami budowanymi z drewnienek, które woduje na tynie. Testuje śnieg, lód i wodę. Tworzy prace w plenerze, w obecności widzów, w takiej formie, iż potrafią one żyć samodzielnie i dynamicznie. Topniejąca bryła lodu zmienia kształt w czasie, dokonując na sobie aktu „samorzeźbienia”. Kapiące krople wody tworzą zmienny rytm... Mumele – płaskie konstrukcje geometryczne, spławiane na stawie w Jakubowie, zmieniają strukturę wzajemnego położenia i lokalizację. Obserwujemy ruch mumeli i powolne gromadzenie się rzęsy wodnej w ich wnętrzu. (...) Dla niego wszystko jest przygodą: deszczulka, kawałek płótna, śnieg, woda, topniejący lód, rzęsa na stawie, spacer, spotkanie z krową ryczącą na wsi w niedzielę i z dziurą w moście.

Krystyna Spikert (fragment materiału opublikowanego w „VariArcie” nr 1/2009)

Poezja deszczowej rynny. Zmieszanie bieli, czerwieni i czerni, 2009 r. Fot. Iwona Bolińska Walendzik







Joanna Mariuk
historyk sztuki

O tym, jak syrenki cesarzy pokonały i dlaczego Gustebaldę w kamień zamieniono

Fontanna Hermanna Balka w Elblągu
(przedwojenna pocztówka)



Fontanna Trzech Cesarzy w Ostródzie
(przedwojenna pocztówka)



Są takie rzeczy w życiu każdego człowieka, które do życia konieczne nie są, ale które sprawiają, że zwykły dzień nabiera rumieńców i trochę nam bliżej do nieosiągalnego prawnie stanu zwanego szczęściem. Każde miasto też pragnie posiadać coś, co doda mu kolorów i ozdobi je niczym prawdziwą biżuteria, droga, czasem niewygodna nieco, ale pożądana przez każdą elegantkę. Do kosztownej i niezwyklej oprawy miast należą niewątpliwie fontanny. Dla celów praktycznych można by przecież pobudować zwykłe studnie i miejskie źródła, które dawałyby ochłodę przechodniom, a nie inwestować w piękne, ale wymagające zachodu wodotryski, cieszące oczy, ale drenujące portfele mieszkańców. A jednak... to fontanny właśnie stanowią jeden z ulubionych celów spacerowiczów, powód do dumy mieszkańców i obiekt pożądania tych miast, które ich jeszcze nie posiadają. A fontanny naszego województwa znają jeszcze do tego niezwykle historie, które opowiadają tym, którzy zechcą ich posłuchać.

Dawno, dawno temu, w krainie, gdzie jeziora są błękitne jak

oczy młodych dziewcząt, a noce gwiaździste jak drogocenna tkanina, żyła piękna córka rybaka, zwana Galindą. Ona to właśnie, najmłodsza z trzynastu córek, przejęłaby schedę po rodzicach, gdyby nie pewien młodzieniec, który zafascynował jej sercem i sprawił, że zapragnęła opuścić dom rodzinny na wyspie na jeziorze Niegocin. Ojciec zakochanej bez pamięci córki w przypiętych gniewu poszedł do czarownicy, by udaremnić zamiary Galindy. Podstępna czarownica udała się na miejsce schadzki kochanków, przyjmując postać Galindy, a gdy młodzieniec próbował pocałować ukochaną, został zamieniony w żabę. Nieszczęsna Galinda, przybywszy na miejsce spotkania, rozpoznała w rechoczącej żabie swego ukochanego i zastrygła pełna żalu, myśląc, jak odczarować miłość swego życia.

Brązowa Galinda właśnie, bohaterka tej całkiem „młodej” legendy, zdobi fontannę przy Placu Grunwaldzkim w Giżycku. Klęcząc, wciąż w wyciągniętych dłoniach trzyma żabkę i już ponad 10 lat próbuje odgadnąć, jak może zdjąć klątwę ze swego ukochanego. Postać zakochanej wiecznie Galindy powstała w pracowni Andrzeja



Syrenki w Ostródzie
Fot. Joanna Mariuk

Morawskiego i od 2001 roku przyciąga oczy turystów i mieszkańców, niektórych zachwyconych, niektórych prześcigających się w wymyślaniu pogardliwych nazw dla bohaterki fontanny.

Galinda nie pokonała jeszcze zaklęcia i wciąż czeka na odczarowanie swego ukochanego, fatum zawisło też nad ostródzkimi syrenkami, które niegdyś na piedestale jednej z najstarszych w naszym województwie zachowanych fontann dziś stoją zapomniane w ostródzkiej marinie, wciąż trzymając się za ręce. A było to tak... W sierpniu 1907 roku odsłonięto uroczyste na rynku przed miejskim ratuszem w Osterode elegancką fontannę w postaci obelisku ozdobionego kamiennymi, stylizowanymi rybami oraz brązowymi plaketami z portretami trzech cesarzy Prus: Wilhelma I, Fryderyka III i Wilhelma II. Wszyscy oni panowali w roku 1888, dając temu okresowi nazwę „Roku Trzech Cesarzy”. Na początku 1945 roku z fontanny zniknęły najpierw portrety „niewygodnych” władców, w latach 60. granitowa iglica, by ustąpić miejsca trzem betonowym, wirującym w tańcu syrenkom, które zdetronizowały trzech pruskich władców i tańczyły na tej nieco dziwnie wyglądającej fontannie aż do czasu, gdy ustąpiły przed „wyższą władzą”. Oto bowiem 1 maja 2004 roku, w dniu wstąpienia Polski do Unii Europejskiej, odsłonięto kolejną już wersję ostródzkiej fontanny. I tak oto Fontanna Trzech Cesarzy została przemianowana na Pomnik Jedności Europejskiej, a w miejscach portretów trzech władców widnieją obecnie herby: Ostródy, jej miasta partnerskiego – Osterode Am Harz oraz 12 gwiazdek Unii Europejskiej. Fontanna ma sporo szczęścia mimo przypominających sensacyjny film perypetii z odzyskaniem granitowego obelisku, dziś wciąż przypomina swoją przedwojenną poprzedniczkę, choć jej otoczenie, zabudowa dzisiejszego Placu Ty-

siąclecia Państwa Polskiego, nie pozostawia wiele złudzeń – to już inna epoka.

Wiele wspólnego łączy ostródzką Fontannę Trzech Cesarzy z elbląską Fontanną Hermanna Balka: obie stały przed budynkami ratuszy, obie zostały odsłonięte w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku, obie upamiętniały historyczne postaci i obie zmieniły całkowicie swój charakter po 1945 roku. Elbląska fontanna, odsłonięta w 1908 roku, stojąca na obecnym Placu Słowiańskim, zwieńczona była niegdyś statyczną rzeźbą Hermanna Balka, mistrza krajowego związanego z początkami Elbląga. U jego stóp widniały niegdyś, jak w przypadku fontanny ostródzkiej, trzy ogromne, dziwne ryby, podtrzymujące ogonami wyższą część fontanny, była też kąpiąca się, półnaga nimfa obserwowana przez dwa fauny i groźne lwie paszcze, z których tryskała woda. Dobroczyńcy fontanny, Friedrich Silber i Emil Lehmann, których legaty zapewniły fundusze na wybudowanie tej nietaniej ozdoby, upamiętnili swe zasługi jako darczyńcy na rzecz swego rodzinnego miasta Elbląga ogromnym napisem na cembrowinie. Po zmianach, które w fontannie wprowadził w 1957 roku elbląski rzeźbiarz, Julian Leniec, trudno ją dziś rozpoznać. Nie wiadomo kiedy zniknął z piedestału Hermann Balk, było to na pewno tuż po wojnie, w latach 50. z kolei, zniknęła nimfa i grupa faunów, a ogromne ryby Julian Leniec zamienił na stylizowane delfiny. Fontanna o niegdyś bogatej, barokowej w swym przepychu formie, jest dziś jedynie bladym odbiciem swej poprzedniczki.

Prawie wszystkie motywy fontann mają coś wspólnego z żywiołem wody. W Olsztynie w Parku Podzamcze nagi chłopiec siedzi na ogromnej rybie. To dzieło rzeźbiarki Balbiny Świtycz-Widackiej, która tak oto sportretowała swego ukochanego wnuka Kamila.

Fontanna z Królem Sielaw w Mikołajkach
Fot. Joanna Mariuk



Podobny motyw, tym razem rybaka z rybą, wykorzystano w innej ostródzkiej fontannie. Figurka była przedmiotem słynnej kradzieży, ale jej popularność była tak duża, że postanowiono wykonać kopię, która zdobi obecnie jeden z najnowszych nabytków miasta nad Drwęcą – nowoczesną fontannę nad Jeziorem Drwęcким. W Mikołajkach panuje niepodzielnie Król Sielaw, upamiętniony nie tylko w herbie tego miasta, ale i na niedawno odnowionej fontannie w centrum. Lecz czasem oprócz ryb i wodnych stworzeń na fontannach pojawiają się inni przedstawiciele fauny. Najlepszym tego przykładem jest Symfonia Ptaków w Parku Podzamcze w Olsztynie. Olbrzymią misę fontanny otacza pięć ujętych w tanecznych pozach ptaków, tak oto celebrujących zjednoczenie dwóch żywiołów: wody i powietrza. Fontanna powstała w 1967 roku według pomysłu artysty rzeźbiarza Ryszarda Wachowskiego.

Jednak jeden z najoryginalniejszych źródeł w naszym województwie znajduje się nie w stolicy regionu – Olsztynie, ale w Bartoszycach. Jest to nagroda, jaką wygrali przedstawiciele Bartoszyca dla swojego miasta podczas turnieju miast w 2009 roku. To sami mieszkańcy zdecydowali w głosowaniu o tym, żeby wygraną – 100 000 złotych przeznaczyć na źródło miejski. Aż trudno uwierzyć, że zwycięska fontanna zainspirowana została ponoć legendą o zamienionej w kamień pruskiej księżniczce Gustebaldzie. Gustebalda została obdarzona przez Króla Ryb niezwykłą umiejętnością rozumienia mowy zwierząt i roślin pod warunkiem, że nikomu nie zdradzi, iż posiada ten niezwykły dar. Gdy jednak usłyszała, jak zwierzęta rozmawiają o zbliżających się wrogich wojskach, nie dotrzymała tajemnicy, ostrzegła współplemieńców i zdradziła, że rozumie język przyrody. Za karę została zamieniona w kamień. I rzeczywiście, bartoszycki źródło wieńczy klęcząca w bezruchu postać dziewczynki. Otaczają ją ryby, zajączki, pieski i inne zwierzęta, utrzymane jednak



Jedna z parkowych rzeźb-fontann w Mrągowie
Fot. Joanna Mariuk

bardziej w komiksowym niż historycznym stylu. No cóż, jednym się podoba, innym nie, jedno jest pewne – jak raz się bartoszycki źródło zobaczy ... ciężko go wymazać z pamięci.

Nasze fontanny przeszły swoistą ewolucję. Na przedwojennych pocztówkach widzimy eleganckie wodotryski, zachwycające, jak fontanna na Königin Luise Platz w Elku, niezwykle intensywnym strumieniem wody, lub łączące funkcje kommemoratywne i ozdobne, jak fontanna Hermanna Balka w Elblągu. I w Olsztynie nie zabrakło wtedy pomników, pełniących zarazem funkcję źródeł. Źródłami były zatem: pomnik działacza bankowego Hermana Schulze-Delitzscha, znajdujący się na ówczesnym Placu Beliana, oraz odsłonięty w czasie I wojny światowej pomnik Mikołaja Kopernika. Po wojnie na piedestał weszły legendy i tajemnicze postaci takie jak ostródzkie syrenki. Przez cały ten okres starano się podkreślać ikonograficznie związek fontann z żywiołem wody. Wielu z tych obiektów już nie ma, wiele zmieniło swój wygląd tak, że ledwie przypominają swoje pierwotne wersje. Niedawno zapanowała z kolei moda na podświetlane różnobarwnie fontanny o regulowanych strumieniach wodnych. Szumią, błyszczą, bawią. Czy potrafią nam jednak opowiadać historie, jak te starsze, niemodne już źródła? Czy nie ciekawiej jest w Mrągowie, gdzie dzięki projektowi „Mrągowo – wyrzeźbione miasto” przybyły oryginalne, tworzone przez różnych twórców parkowe rzeźby i wodotryski, a wśród nich fontanna zwana przez miejscowych „Mrągową syrenką”?

Wojciech Ogrodziński Na radiowej scenie



W archiwum Radia Olsztyn jest sto kilkadziesiąt słuchowisk zrealizowanych w minionym półwieczu. Nie ma, niestety, pierwszego słuchowiska, bodaj z 1953 roku. Wiadomo tylko, że jego bohaterem był Kopernik. Jest też trochę anegdot o tym, jak powstawało. O tym, jak poszukiwano dźwięku żalobnie brzmiących dzwonów, jak musiano przerywać nagrania, bo obok studia przejeżdżała ciężarówka. I o tym, że jedna z aktorek wcieliła się w kilkanaście postaci.

W roku 2012, przy okazji jubileuszu 60-lecia, Radio Olsztyn przypomniało kilkadziesiąt najlepszych słuchowisk ze swego dorobku. Na radiowej scenie pojawili się znowu znani i lubiani niegdyś w Olsztynie aktorzy. Zabrzmiały zapomniane głosy. Odżyły teksty sprzed lat.

Pozwalam sobie na tę dygresję, choć redakcja postawiła przed mną inny cel. Mam zdać sprawę z realizacji najnowszej produkcji Radia Olsztyn: słuchowiska Włodzimierza Kowalewskiego. Chciałem jednak pokazać, że realizacja słuchowisk w Radiu Olsztyn to dość konsekwentny ciąg zdarzeń, mający swą historię i tło, a przede wszystkim sprawców, wśród których warto wymienić przede wszystkim Annę Kochanowską, wieloletnią kierowniczkę radiowej redakcji literackiej. Jej pasji i konsekwencji zawdzięczamy dziesiątki słuchowisk, realizowanych według utworów m.in. Sławomira Mrożka i Leszka Kołakowskiego. Anna Kochanowska namówiła również do współpracy pisarzy miejscowych: Henryka Panasa, Bogdana Dzitkę i Tadeusza Ostojkiego.

Przystępując do pracy nad słuchowiskiem Włodzimierza Kowalewskiego *Powrót do Breitenheide*, mieliśmy świadomość, że dopiszemy nowy rozdział do długiej radiowej historii.

Tekst jest autorską adaptacją powieści, za którą Kowalewski był nominowany w 1998 roku do literackiej nagrody NIKE. Akcja powieści rozgrywa się w 1912 roku, w Prusach Wschodnich, gdzie paryski marszand odwiedza przyjaciela ze studiów, malarza Martina Stiebla.

Tytułowe Breitenheide skrywa mroczną tajemnicę. Podobnie jak i dzieło życia, które malarz chce pokazać przyjaciółom. Rozmowy o sztuce są pretekstem do pokazania przemian dokonujących się w Europie na początku XX wieku, a także przeczuć co do przyszłości.

Kiedy przeczytałem tekst słuchowiska, uświadomiłem sobie po raz kolejny, że piarstwo Kowalewskiego jest w swej istocie zmysłowe. Kowalewski bardzo chce, aby czytelnik widział, słyszał, smakował i czuł to, co czyta. Słuchowisko musiało więc być w tym właśnie zakresie niezwykle sugestywne. Dlatego mój wybór padł na *Czystych jak łza*, czyli na Marka Markiewicza i Jaromira Wroniszewskiego. To radiowcy ogromnie wrażliwi nie tylko na słowo, ale także na to,

jak brzmi tło i jak zagrać dźwiękiem, by nie był prostą ilustracją. Eksperymentowali również z nagraniami w plenerze. Reżyserem został Markiewicz, a Wroniszewski miał się zająć nagraniami plenerowymi. Potem doszła jeszcze do tego rola Hubera.

Pomysł był prosty. Chcieliśmy część scen nagrać w naturalnych wnętrzach i plenerach. Największy problem był z parowozem. Okazało się, że jedyny na chodzie jest w posiadaniu Elckiej Kolei Wąskotorowej. A tu po sezonie. Telefonuję. Po drugiej stronie pełne zrozumienie i życzliwość. W efekcie na początku grudnia parowóz uruchomiono na nasze potrzeby i przez pół dnia nagrywaliśmy efekty dźwiękowe (tło) oraz jedną ze scen. Następne sceny realizowane były w Dorotowie, w Hotelu Gallery69. Tam wreszcie to, co wydawało nam się ryzykownym eksperymentem, zaczęło przynosić pierwsze efekty. Większość słuchowisk to w istocie teatr radiowy, odgrywany przez aktorów w studio, a następnie ilustrowany efektami dźwiękowymi z archiwum. Co słyszeć. Realizacja słuchowiska metodą jakby z planu filmowego, gdzie aktorzy w rzeczywistych wnętrzach i plenerach odgrywają zadane sytuacje, pozwoliła odejść od kanonicznego teatru radiowego, w którym liczy się tak naprawdę aktor i słowo, a nie wiarygodność tła dźwiękowego. To taka mniej więcej różnica jak w przypadku teatru telewizji i filmu.

Oczywiście trudno sobie wyobrazić, by każde słuchowisko powstawało w ten sposób. To zupełnie *science fiction*. Ale myślę, że warto eksperymentować. W końcu najstłynniejszym słuchowiskiem w dziejach światowej radiofonii była *real fiction* Orsona Welleśa według powieści H.G. Wellsa, w której aktorzy udający reporterów relacjonowali najazd Marsjan na Ziemię. Tak sugestywnie, że tysiące słuchaczy w ten najazd uwierzyło.

No i na koniec o muzyce. Włodek Kowalewski, jeśli dobrze pamiętam, zasugerował walc Sibeliusa. Jakoś nie zabrzmiał. Zaproponowałem *Dream of Autumn* Archibalda Joyce'a, w wykonaniu The White Star Orchestra. Według niektórych słynna orkiestra z Titanica miała grać ten utwór, kiedy statek szedł na dno. Wykorzystaliśmy nagranie, które rekonstruowało oryginalny zapis nutowy i aranżację oraz takie same instrumenty. Myślę, że utwór odtwarzający brzmienie oryginału znakomicie wpisał się w nastrój powieści dziejącej się w 1912 roku.

Powrót do Breitenheide miał swą premierę 30 grudnia minionego roku. Realizatorom i wykonawcom dał prócz zrozumiałej satysfakcji twórczej nowe doświadczenie. Wierzymy, że to, czego nauczyliśmy się podczas realizacji tego słuchowiska, zaowocuje w przyszłości.



W 150. rocznicę urodzin

Arno Holz

– poeta, teoretyk, wizjoner

Jeden z największych twórców urodzonych w Prusach Wschodnich, porównywany przez współczesnych z Kopernikiem i Kantem, wielokrotnie nominowany do literackiej nagrody Nobla, Arno Holz jest postacią, której wielkość dobrze przyswojona w ogólnoswiatowym obiegu, kulturze polskiej po wielu latach nieobecności dopiero jest przywracana. Urodził się 26 kwietnia 1863 roku w Rastenburgu (obecnie Kętrzyn) w nieistniejącej już Aptece pod Orlem. Kiedy miał lat 12, jego rodzice opuścili rodzinne strony, osiedlając się w Berlinie, gdzie Arno Holz miał spędzić całe twórcze życie. Był pisarzem i teoretykiem, jedną z najbardziej znaczących postaci niemieckiej literatury. Wśród sztandarowych autorów przełomu modernistycznego zyskał pozycję mistrza niemieckiego naturalizmu. Jego nazwisko, pomimo upływu stulecia, wciąż kojarzone jest z literaturą eksperymentalną. On sam był świadomy przełomu, jakiego dokonał w literaturze, dążąc do ustalenia ścisłego jej związku z nauką i kulturą rozumianą jako system. Twórczość Arno Holza wpisała się w estetykę niemieckiego naturalizmu. Zakładał on, że literatura powinna dążyć do precyzyjnego odwzorowania fragmentów rzeczywistości, zaś wybór obiektu artystycznej reprodukcji jest decyzją intelektualną i moralną pisarza. Dominującą tematyką jego utworów stały się obrazy nędzy i wielkomięskiej alienacji.

Wspólne tomy Arno Holza i Johannesa Schlafa *Papa Hamlet* (1889) i *Neue Gleise* (1892), napisany wspólnie ze Schlafem dramat *Die Familie Selicke* (1890), dwutomowe dzieło teoretyczne Holza *Die Kunst. Ihr Wesen Und Ihre Gesetze* (1891/92), a także dramaty Holza z cyklu *Berlin, das Ende einer Zeit in Dramen (Socialaristokraten – 1896, Sonnenfinsternis – 1908, Ignorabimus – 1913)* zmierzały konsekwentnie ku nowej estetyce. Arno Holz utożsamiany jest przede wszystkim z poglądami wyrażanymi w jego pracach teoretycznych. Z racji odważnych eksperymentów prozatorskich i dramatopisarskich został wcześniej przypisany do fali przełomu antyromantycznego. Mimo radykalnego programu antyromantycznego w obszernej części twórczości wobec idei neoromantycznych przejawiał jednak pewną uległość. W znacznym zakresie odnosi się to do twórczości poetyckiej Holza – tomu poezji z 1886 roku *Buch der Zeit. Lieder eines Modernen*, za którą otrzymał Nagrodę Schillera, dwu części zbioru *Phantasmus* (1898/1899), wydanego w 1904 roku zbiorze *Dafnis. Lyrisches Portrait aus dem 17. Jahrhundert* oraz późniejszych wersji *Phantasusa*, które wydawane w latach 1916 i 1924/25 poeta rozbudowywał konsekwentnie do śmierci. Pośmiertne wydanie *Phantasusa* z 1961/62 liczy 1584 strony.

Przez pryzmat rozbudowywanych w kolejnych wydaniach wierszy można odczytać zarówno najważniejsze idee, którym poeta

Krzysztof D. Szatravski

zadedykował swój los, jak również skomplikowaną drogę eksperymentów stylistycznych, którą podążał, aby ująć swą myśl w formę możliwie najdoskonalszą. *Phantasmus* był zbiorem, który zadecydował o eksponowanym miejscu Holza w historii, i prawdopodobnie jego największym sukcesem. Wielowymiarowy świat wspomnień z dzieciństwa i fascynacji nowoczesnością, nadziei związanych z postępem technicznym i rozpaczy towarzyszącej społecznemu realizmowi, nakładają się na wielkie i wciąż nierozstrzygnięte tematy niemieckiego romantyzmu: miłość i śmierć, natura i kultura, sprawiedliwość i równość, budowanie i przemijanie. Wobec wsplaności natury i trudów życia w wielkim mieście pamięć dzieciństwa okazuje się krainą najwyższego szczęścia. Świat małego pruskiego miasteczka, na które Holz spogląda „ponad dachami”, w którym w sobotę podaje się omletry, przeciwstawia obrazom wielkiego miasta, które widzi z perspektywy ławki w Thiergarten lub snobistycznego domu przy Kurfürstendamm, a niepewnej miejskiej egzystencji przeciwstawia naturę. Odwracając perspektywę poznawczą i aksjologiczną, symbolicznie odwraca porządek świata, w którym najbardziej błahе zdarzenia i subtelne wrażenia okazują się odzwierciedleniem porządku kosmicznego.

Uderzającą cechą poezji Holza jest powiązanie dziecięcego, przenikliwego, choć czasami naiwnego spojrzenia, swoiście pojmovanej otwartości, a nawet afirmacji świata ze świadomością wszechogarniających rzeczywistość związków przyczynowo-skutkowych, emocjonalnych i symbolicznych. Fascynacja nowoczesnością miesza się z przerażeniem, marzenia o szczęściu pochłania nieustanny pośpiech. Arkadyjskie obrazy rodzinnego Rastenburga i zapamiętanych z wakacji wschodniopruskich wsi, gdzie najprostsze zajęcia dają poczucie spełnionej powinności i szczęścia, kreślone zdecydowanym gestem i w soczystych barwach obrazy natury sąsiadują z onirycznymi wizjami pełnymi lęku i cierpienia. Sytuacja artysty błędzącego pomiędzy światami schopenhauerowskiej woli i nieuchronnego zniewolenia przez mechanizmy nowoczesnego społeczeństwa jest uzasadnieniem lęku uświadomionego nam choćby przez Kierkegaarda, jest sytuacją współczesnego człowieka próbującego odnaleźć własną równowagę pośród wykluczających się idei. Dwudziestowieczna historia przyniosła wiele dowodów na profetyczny charakter tego, co ostrożnie określa się mianem „prawdy poetyckiej”. Arno Holz w tej perspektywie jest jednym z najodważniejszych wizjonerów poezji jako drogi do przezwyciężenia dramatu egzystencji, a zarazem jednym z proroków nowoczesności, jaką znamy.

Wiersze z drugiej części *Fantazusa* (1899)

w przekładzie Krzysztofa D. Szatrawskiego

* * *

Wokół rozżarzonej do czerwoności żelaznej kolumny sięgającej nieba,
najeżonej ostrymi krawędziami tłuczonego szkła i tnących noży,
na niewidocznym łańcuchu powoli w górę i w dół się obracam.

Powoli, gładko i dokładnie.

Jęcę, stękam, charczę, ryczę: Hosanna!

W siedem razy siedemdziesięciu wiecznościach,
kiedy odłamki szkła stępione i nóż już nie może kroić,
kolumna szerniała stoi;
w dole,
w otaczającej ją, śmierzdzącej kałuży,
jest mój mózg, moja wątroba, moja krew, całe krzepnące błoto,
i ja,
„oczyszczony”,
przemieniony, błogo ukryty w konserwie Liebiga
zaszlocham
nad moją ostatnią, pozostałą jeszcze kosteczką,
która do bram raję puka!

* * *

Panie, mój Panie, jakże jesteś wspaniały!

Wszyscy Bogowie świata są bożkami.

Tylko nie ty!

Moje wargi chwala Cię!

Tyś jest łaskawy i sprawiedliwy, Tyś jest miłosierny!

Nie obawiam się Ciebie, aż mą skórę przebiega dreszcz,
i nie przerażają mnie Twoje prawa.

Twoje myśli są tak bardzo głębokie!

Obracasz korbą,
i miażdży mnie ta kolumna,
naostrzyłeś szklane odłamki i swoją brzytwę,
jesteś samym dobrem...

Patrz!

Na skrzydłach,
które srebrem i złotem migocą,
w białych szatach,
z różami we włosach,
unoszą się
wokół tego żarzącego się, drżącego ciała
wszyscy Twój aniołowie.

Śpiewając, radując się,
w milionach pucharów,
zbierają łzy mojej radości!

Alleluja!!

* * *

Wokół waszego ogrodu,
gdzie pod kwitnącymi drzewami możecie śmiać się, radować
i śpiewać,
krąży, zwija się, układa moje smocze ciało.

Z pełnym respektem dystansem,
z kamieniami, żelaznymi drągami i kubłami plugastwa
stoi motłoch.

Jego złość się pieni, jego niemoc wyje,
kiedy za wysokimi lustrzanymi murami, nad którymi pną się róże,
nagle wasze brzmiały czyniele,
albo na białej, tryskającej wodzie, ponad najwyższymi, strzelistymi
cyprysami
tańczą wasze złote kule.

W ich oczach, w ich pięściach,
w ich niemo pochylonych ramionach
drży chciwość:
jak bestie spadają na wasze ciała,
wrzeszcząc w waszych sercach, ryją,
przez czarne, dymiące gruzy świątyni pętacie waszych upadłych
Bogów!

Tlą się moje szpony, moje oczy płoną...


Empatia buddy

W każdej książce podtytuł „dzieła zebrane”, „wiersze z lat...”, „wybór” daje do myślenia. Po pierwsze oznacza, iż autor musi już mieć za sobą jakieś stosunkowo liczne dokonania, po drugie zaś, że jego twórczość nie jest efemerydą, „udanym debiutem”, „obietającym tomikiem”, lecz czymś rzeczywiście zaistniałym w czasie. Taki podtytuł więc to nagroda, a pisarz musi na niego zasłużyć. Mirosław Słapik wydał sześć tomików poetyckich oraz zbiór opowiadań – o licznych publikacjach na łamach czasopism, czy o pracy redaktorskiej nie wspominając. Skoro więc stosunkowo cienka książka z serii „Biblioteka Autorów z Warmii i Mazur Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Olsztynie” o tytule *Odległości* wydany w 2012 r. ma właśnie podtytuł „wiersze wybrane” – autor na niego po stokroć zasłużył. Wybór ukazuje spektrum twórczości Słapika od lat 80-tych ubiegłego stulecia, po najnowszą – z 2012 r. Czy owa „odległość” między pierwszym a ostatnim utworem z tomiku jest jedyną przyczyną takiego a nie innego tytułu całości? Nie – wszelakich odległości w „wierszach wybranych” gołdapskiego poety, tych geograficznych, chronologicznych, biologicznych, narodowych, psychologicznych, emocjonalnych, a nawet filozoficznych czy metafizycznych, jest tak wiele, że łączą się i krzyżują, tworząc ostatecznie wstęgę Möbiusa. Poziomą ósemkę symbolizującą nieskończoność. I dla uważnego obserwatora nagle w tym momencie zapala się światełko ostrzegawcze: nieskończoność? Ale... ale... a tytułowe odległości?!... Z odpowiedniej perspektywy wszelkie odległości okazują się ostateczną, jedyną bliskością, niekończącym się łukiem uśmiechu ust oświeconego buddy.

W tomiku „wierszy wybranych”, czyli tych „specjalnych”, „umilowanych”, znaczących”, „cymesów”, po prostu ważnych, muszą pojawiać się i przewijać motywy-kamienie milowe oraz fundamenty świata poetyckiego autora – inaczej utwory nie byłyby w tak uroczysty sposób zebrane... I rzeczywiście – można owe zasady świata dostrzec, a są nimi: miłość, życie-śmierć, Absolut i woda. Gdy się przyjrzeć owym czterem jako potencjalnemu ciągowi logicznemu, rzeczywiście pojawia się oczywisty sens: wszak życie organiczne zaczyna się w wodzie, jego nieuchronnym efektem jest śmierć, jego najważniejszym motorem jest miłość, jego porządkiem zaś jest Absolut – jakkolwiek by go nie nazwać. Całość krąży w ciągłej wędrówce zależności po bezgłośnym, zakręconym kręgu wstęgi Möbiusa. Miłość w godny uznania sposób oddaje się (tak, to jest właściwa gra słów) frazom Słapika i to niejako we – i z – wzajemności, gdyż jest dla niego najważniejsza: „Pierwsza czynność / (...) to wypowiedzieć miłość”. Opisujące ją frazy są eleganckie i działają na podświadomość, a jednocześnie układają się miękko oraz czule. I to zarówno wtedy, gdy ukazują miłość do kobiety, do rodziców, do dzieci, do własnego, oswojonego miejsca, jak i do samego życia jako mnogości niewyraźnych inności, czy również do śmierci. Śmierci, która pokonuje wszelkie odległości, która jest obecna we wszelkich znanych nam i wyobraźalnych odległo-

ściach. Ktoś mógłby wtrącić: „A w raju? – w miejscu, gdzie śmierci nie było i być nie powinno?”. Pamiętajmy o tych, dzięki którym nie musimy znać całej strasznej prawdy o zasadach rządzących wszechświatem, o tych, którzy widzą więcej. Czyż Hieronim Bosch nie umieścił w swoim Ziemijskim Raju małej sprytniej sylwetki kota zwinnie zwiewającego z malutką ofiarą w zadowolonym pyszczku? Mały dramat dla równowagi świata... Bosch widział więcej, i Słapik widzi więcej – też często umieszcza w swych wierszach futrzanych czy pierzastych strażników równowagi... Opisuje ją – tę równowagę życia, Śmierć, „niby-tunel i niby-światelko na jego niby-końcu” jako „przejście ze stanu stałego w jakiś stan inny”, jako mikrowstęgę Möbiusa. To ona daje ludziom przyjaciół – śniąc ich. Czy nie jest więc lepsza i miłosierniejsza od życia, które nam przyjaciół odbiera?... Życie i śmierć łączą się z wodą, wychodząc z niej i do niej wracając, dlatego też w tomiku Słapika dotyka ona falistym jęzorkiem niemal każdego wiersza – a przynajmniej każdego z tych, które dotyczą naszego regionu. Poeta bowiem sięga w *Odległościach* bardzo daleko: na pustynię Gobi, na Syberię, do Mongolii, do Włoch. Widać jednak, że jakkolwiek patrzy zarówno na świat mu bliski – miejsca pochodzenia i zamieszkania – jak i na ten daleki z jednakim zainteresowaniem, to w przypadku tych rodzimych samostnie włącza mu się ów filtr wspomnianej już wcześniej czułości – świadomie niechciany, jako burzący obiektywizm spojrzenia, ale i zdradziecko nieunikniony. Filtr ów jednak wbrew obawom autora niczego nie fałszuje, ale niczym soczewka wyostreza szczegóły – na krople mazurskiego deszczu, piśczętę ścian w wykonaniu pnąca, na skalistość gwiazd – ucząc autentycznej świadomości. Owa świadomość zaś rodzi – ostatecznie – empatię. Podmiot wierszy patrzy na świat właśnie z taką empatią, z buddyjskim współczuciem. Owo „współczucie” nie jest ściśle rozumianym współodczuwaniem, współcierpieniem, ale rodzajem szacunku dla wszelkich form istnienia, czyli dla każdej inności. Taka empatia nie jest cukierkową czułościowością, ale uwagą, która pozwala widzieć więcej, a co za tym idzie – rozumieć. To jest dojrzałość świadomości. Choć może to tylko wspaniałomyślny gest, na który może sobie pozwolić jedynie i już doświadczenie?...

To świadome spojrzenie ogarnia wszystkie byty i niebyty oraz już-nie-byty, wszystko, co inne niż człowiek. To uwaga zaczerpnięta z dalszych odległości niż te mierzone ludzkimi miarami. Taki wzrok dostrzega Głębię w oczach kotki, a nie tylko mechanizm żywej pułapki na myszy, widzi poważną niewinność śmierci w truchelku mewy, a nie paskudne ścierwo, w inności, niewiedzialności, czułości zauważa równoległość. To bardzo ważne słowo – pojawia się w wierszach Słapika kilkakrotnie niby klucz do tajemnicy. Wiersz – *nomen omen* – *Równoległość* ukazuje świat w tym samym miejscu, w tym samym czasie, z innymi niż my obserwatorami-uczestnikami bytu, czyli jakby w innym czasie i miejscu. Wertując tomik *Odległości*, można dostrzec, jak teoria *multiversum* Słapika ewo-



luuje, a raczej pojawia się coraz wyraźniej w kolejnych utworach: od przecuć, aluzji, po wizje całych sekwencji równoległych istnień żywych wśród zmarłych, zmarłych między żywymi, zwierząt obok ludzi, roślin nad ludźmi, wody między powietrzami. Słupik wchodzi – czasem śniąc, czasem „widząc” – w te równoległości, znów sprowadzając w ten sposób tytułowe odległości do jedności wstęgi Möbiusa. Czytelnik z kolei może obserwować, jak dzięki takiemu spojrzeniu powstają w podmiocie lirycznym zaskakujące odmiennością pragnienia. Czy bowiem komuś kiedykolwiek się śniło, że jest poematem? Stąd tylko krok od zuchwałej zachcianki istnienia jako Słowa Pierwotnego! Gdyby zaś kogoś zastanowiło, czy zbiór w jednym miejscu kilku możliwych wszechświatów, także tych równoległych do naszego znanego, nie doprowadzi do katastrofy – z powodu nagromadzenia materii – powstania antymaterii, eksplozji twórczego Wielkiego Wybuchu lub małej Apokalipsy, odpowiedź na to jest prosta: łaska empatii nie dopuści do epatowania dramatyzmem jako reakcji na zwyczajny i przewidywalny ciąg wydarzeń. Tam gdzie jest woda, rodzi się życie, tam, gdzie jest życie, budzi się śmierć, tam, gdzie jest miłość, jaśniej Absolut. Bóg Słupika szuka z utęsknieniem „takiego zaułka, gdzie go nie ma”, przedzierając się przez mgłę zjaw bogów równoległych – egipskich, pruskich, indiańskich, mongolskich... Wychodząc poza granicę filozofii, a wstępując w delikatną pianę emocji, można ową sieć odległości ubrać w słowa nazwać trzecim podtytułem – „wiersze wielkiej czułości”. Z taką bowiem czułością opisywane są wszystkie zjawiska występujące w utworach Słupika: byty widzialne i niewidzialne, ruchome i nieruchome, zmienne i trwałe. Miłość widziana przez pryzmat czułości jest „wielka i gorąca”, śmierć „młodziutka i ciepła”, Bóg (zuchwale nazwany „Świątą Naiwnością” – ale może to tylko złudzenie czytelnika?...) to „najwspanialszy z podarunków”, a woda – „wymysł lata”.

Podczas lektury tomiku pojawia się zdradliwa pokusa wyśledzenia, ile i jak głębokich wątków autobiograficznych, jakimi lustrami metafor i określeń okrytych, kryje się w *Odległościach*. Czułość nie może być talentem *stricte* literackim i taką kategorią! Lecz w końcu przychodzi opamiętanie i niech jednak zostaną tajemnicami przejmujące słowa o „kołysce z cienia / z Mamą która zasypia / która coraz ciszej powtarza / *Wszystko będzie dobrze*”, o „mojej żonie, a jej synowej / [co] odeszła również z mojej winy”, o słowach syna „tato, dlaczego mnie tak słabo uściskałeś / ja przecież tak tęskniłem”, o przerwany „akcie nieopisanej miłości”. Niech jednak zostaną między odległościami wyobraźni.

Tomik Mirosława Słupika o odległościach między i poza „wierszami wybranymi” jest *kalos kai agathos* – piękny i dobry. To nie są tylko zwykłe, zgrabne równoważniki zdań. Każdy z tych „wierszy wybranych” zasługuje na zapatrzenie się w przestrzeń bez odległości.

Mirosław Słupik, *Odległości. Wiersze wybrane, Olsztyn, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Oddział, 2012.*

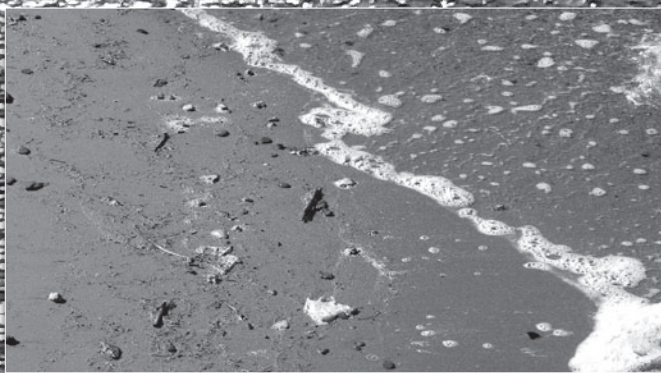


Wszystko płynne

m y ś l i

Duże płótna, pełne... wody. Elbląska Galeria El prezentowała niedawno nowy cykl malarski Aleksandry Matulewicz. Młoda elbląska artystka (rocznik '84, absolwentka edukacji artystycznej w zakresie sztuk plastycznych na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim i malarstwa na ASP we Wrocławiu) znalazła inspirację, będąc nad zagranicznym morzem i... na basenach w regionie. Prace, które powstały na bazie dokumentacji liczącej kilka tysięcy zdjęć, obrazują zmienność związaną z ruchem wody, obecnością w niej ludzkiego ciała i padającym światłem. I postać mężczyzny w czerwonych spodenkach. Wielki błękit ma wiele odcieni, niuansów. Jest zachwycająco poruszający.

Od pewnego czasu Elbląg szczeni się zmodernizowaną dzięki Unii Europejskiej przystanią żeglarską. Ale nie tylko Elbląg zanotował przyływ pieniędzy w „kwestii wodnej”. Dzięki programowi „Pętla żuławska” wiatru w żagle dostało też szereg niewielkich portów Zalewu Wiślanego. Czekaliśmy na to sporo lat, ale było warto. Teraz czekamy na żeglarzy. Aż przyłyną nad Zalew. Pięknie tu i dziko. Żeglowanie tutaj to nie przedszkole dla początkujących. Zalew Wiślany to wszak przedsiónek morza. Czekamy też na sprzyjający wiatr od Wschodu. Jak słyszymy, tak zwani zwykli wodniacy z Obwodu Kaliningradzkiego chcą do nas przyplwać i chcą, byśmy pływali do nich, tylko jeszcze z „góry” musi przyjść jakaś ożywcza bryza... Póki co moje myśli kierują się ku 550. rocznicy Bitwy na Zalewie Wiślanym. I w stronę barkasów – łodzi używanych dawniej przez zalewowych rybaków (egzemplarz do zobaczenia w muzeum w Kątach Rybackich). Rybak to u nas teraz rzadkość. Pod wpływem Unii ich liczba została znacznie zredukowana. Dostosowana do mocno nadwerżonego zasobu ryb w naszym urokliwym akwenie? Przypomina mi się jeszcze elblązanin Alfred Paruszewski, który we wspomnieniowej książce *Niewolnik pod żaglami* opisał swoje losy w czasie II wojny światowej. Urodził się w 1924 r. w Nowym Dworze Mazowieckim, w rodzinie o tradycjach żeglarskich. Do Prus Wschodnich trafił w 1943 roku. Jako robotnik przymusowy pracował na niemieckich łodziach wożących towary między portami Zalewu Wiślanego. Pływał do Elbląga, Tolkmicka, Piławy i Królewca. Pamięta m.in. bombardowanie Królewca przez wojska alianckie w 1944 roku.



W Braniewie, Fromborku ożywa zainteresowanie historią. Przynajmniej jeśli chodzi o „debatę publiczną”. Ostatnio odbywały się tam spotkania z cyklu „Kawiarenka historyczna”. Inspiracją jest Kawiarenka Historyczna „Clio”, do której od kilku lat zaprasza Muzeum Archeologiczno-Historyczne w Elblągu. Regularnie odbywają się dyskusje – nie tylko o przeszłości. Wśród tematów poruszanych w Braniewie były dzieje braniewskiego portu, a we Fromborku rozmawiano np. o nekropoliach. Przez 700 lat w grodzie Maryi, dziś liczącym zaledwie 2,5 tysiąca mieszkańców, istniało około czterystu miejsc, w których chowano zmarłych. Największym cmentarzem był – i jest – Zalew Wiślan. Zimą 1945 roku w jego wodach utonęły tysiące niemieckich mieszkańców Prus Wschodnich, którzy uciekali przed Armią Czerwoną.

Żuławy. Kraj na wodzie. Stan podwyższonej gotowości powodziowej trwa tutaj non stop. Boimy się „cofki” – mas wody pchanych silnym wiatrem z Zalewu Wiślanego w głąb lądu. Drżymy przed tym, co w nadmiarze spłynie ku Żuławom z rzeczek i strumieni Wysoczyzny Elbląskiej. Niewielkie ciekły wodne mają charakter górski. Gdy zaczynają się wiosenne roztopy, tym, co mieszkają niżej, gwałtownie rośnie ciśnienie. Wiosna, lato, jesień, zima. Wszystko – lub prawie wszystko – kręci się wokół czasem błękitnej, czasem szarej, a czasem zielonkawej, nieprzewidywalnej siły.



Krajobraz z wiatrakami. Kiedyś na Żuławach były ich setki. Koźlaki, holendry... Mełły ziarno na mąkę, pompowały wodę, aby nie zalala krainy w wiecznej depresji. Do naszych czasów dotrwały bodaj tylko dwa: w Drewnicy i Palczewie. Szczątki kolejnego ekspozuje Muzeum Żuławskie w Nowym Dworze Gdańskim. Pamiętam jeszcze jeden – w podelbąskim Wikrowie. Spłonął lata temu. Zagrody typu holenderskiego i domy podcieniowe to jedni z ostatnich świadków historii ziemi niegdyś usianej zamożnymi gospodarstwami. Historii pisanej, a może raczej uprawianej (gleby jedne z najżyźniejszych w Europie!), przez Krzyżaków, Holendrów, Niemców, Żydów, Polaków i innych. Nie pasują do szarych, klockowatych budowli z czasów PRL-u, ani dzisiejszych drewnianych dworców i domów „z katalogu”. Ich mieszkańcy to czują i z braku pieniędzy na solidną renowację, a może z braku wiedzy czy świadomości, przystosowują wspaniałe stare domy do nowych czasów. Tynkują, robią przybudówki, wstawiają plastikowe okna, montują anteny satelitarne, sadzą tuje zamiast malw. Gdzie wierzby (zwane „żywymi pompami”, bo odciągają wodę z gruntu) i jabłonie, które rosły przy drogach? Żuławski pejzaż ocala w swoich pracach elbląska artystka Halina Różewicz-Książkiewicz. Czy tylko ona?

Kanał Elbląski. Także dzięki Unii przechodzi gruntowny remont. W tym sezonie nie można pływać po pochylniach, które są największą atrakcją zabytku techniki. Pływać nie można, ale dojechać, obejrzeć od strony lądu – jak najbardziej. Jezioro Drużno jeszcze zimowe, ale z oddali słychać wiosennie ożywione ptactwo. Ruch na nowej, pięknej, bezkolizyjnej trasie krajowej numer siedem zagłusza pracę warsztatów rzemieślników i szczęk broni w Truso.



Iwona Bolińska-Walendzik

W jak Wisła

Czy wiedziałam, że moje nogi obute w narty doprowadzą mnie do tego miejsca? Czy wiedziałam, że poznam punkt na mapie, gdzie wszystkie wody tworzą rzekę meandrującą z południa na północ przez całą Polskę?

Jechałam do Wisły osiem godzin z mojego nadjeziornego miasta. Tak, o ustalonej porze zamknęłam swoje biurko, wyłączyłam komputer, uciekałam od codzienności.

Celem, jak co roku, były narty. Stoki, śnieg, dobre warunki do amatorskiego szusowania, w moim przypadku bardzo dosłownie amatorskiego, bo nigdy nie pobierałam najkrótszej lekcji instruktaza i ani jedna góralska kieszeń nie odczuła mojej determinacji. Natomiast moja afirmacja narciarstwa i owszem jest pasją, z której góralskie kabzy napełniają się każdego roku.

Z założenia narty są pretekstem do poznawania miejsc, ludzi, siebie, do zdobywania szczytów, szukania smaków.

W tym roku padło na Wisłę. Miał być Szczyrk, osławiona legenda moich guru olsztyńskiego narciarstwa. Szczyrk odpadł z powodu pogody i niemożliwości dogadania się między sobą góralskich bonzów, właścicieli gór, chat i ciętego języka.

Około północy zajechaliśmy prowadzeni przez Fiedorówkę do naszej agroturystyki.

Wisła, uzdrowisko, mała miejscina rozwleczone i zrujnowana przez naszą niczym nieograniczoną „fantazję” budowlaną. Nawet mój pensjonat to tylko nieciekawy efekt adaptacji starego na agroturystykę. Góralska chata, oklejona, przerobiona, podzielona, tylko zewnętrzna skorupa jeszcze coś potrafi powiedzieć o prawdziwości tego miejsca. W pokojach zachowane pojedyncze stare meble, posażne skrzynie, sprzęty do zbierania miodu, dużo wcześniejsze modele nart. Dobrze, że nie samą architekturą człowiek żyje, bo gospodyni na Fiedorowskich włościach starała się, jak mogła, aby nam wszelkie niedostatki zakwaterowania ośłodzić, a raczej okrasić rozkoszami podniebienia. Rosół z domowej kury gotowany na fajerkowym piecu, zupa borowikowa z zacierkami, surówki z kiszanej kapusty z kminem, marcheweczka gotowana,

kompoty z truskawek i ostrężyn, i w końcu pierogi. W dodatku jadło dostępne o każdej porze wymyślonej przez kapryśnych letników, właściwie zimowników... a za oknem potok szumiał..

Fiedorówka splywa wodą z roztopów do Malinki, która tuż przed pewnym mostem, niepostrzeżenie łącząc się z Wiselką, tworzy Wisłę. I tu się zaczyna mój początek Polski. Dwa dni zajęło mi dokonanie tego odkrycia. Przyjechałam na narty, a znalazłam miejsce początku. Trzeciego dnia eksploracja terenu doprowadziła mnie do kolejnego odkrycia. Do osmiometrowej, licząc w szerz, kaskady, zwanej przez miejscowych Niagarą, którą zbudowano, by wstrzymywała wody Wiselki przed zalaniem tego, co poniżej i zbyt szybkiego przekształcenia się Wisły w królową polskich rzek. Kaskada białym jęzorem spada, tworząc miejsce wietrzno-wodnego inhalatora, w którym stojąc, nabiera się mocy, jaką daje siła stworzenia. To nie jest jedyna przeszkoda w okolicy postawiona wodzie, aby ta nauczyła się cierpliwości – dwa kilometry wyżej w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku wybudowano tamę, zapórę, która skutecznie wstrzymując wody Białej i Czarnej Wiselki, tworzy jezioro Czernańskie.

Tego dnia chciałam jeszcze jechać w górę Czarnej Wiselką, by znaleźć same źródło początku, ale zmuszona zapadającym zmrokiem poprzestałam na stwierdzeniu, że każda kropla, która tu spada, toczy się, płynie, staje się częścią Wisły.



Anita Romulewicz

Papier, nożyce..., Kamionka

Nie tak dawno miałam okazję spotkać się w większym gronie z grupą moich rówieśników. Jak to bywa w takich sytuacjach, nie uniknęliśmy tematu pociech i tego, jak szybko dorastają. I to, w co się teraz bawią, co je fascynuje, co czytają. Oczywiście, żeby tradycji stało się zadość, padły też odwieczne stwierdzenia: *W naszych czasach to były bajki! Nie to co teraz. Paskudne to to, kiczowate. A ilustracje – pożałuj Boże, autorzy Szancerowi buty mogłoby co najwyżej pastować.*

Naturalnie, każde pokolenie ma tendencję do gloryfikowania własnych czasów i wytworów kultury. To zjawisko da się szerzej wyjaśnić socjologicznie i antropologicznie, jednak, mówiąc prosto z mostu – mądrzymy się na temat tego, co znamy najlepiej. Stąd też liczne laurki od mojego pokolenia dla wielu kultowych filmów i lektur, które dziś niewiele oczarują. I często niesprawiedliwy osąd tego, co współczesne. Osobiście wielkim sentymentem darzę pewien typ książek, które ze względu na formę zawsze będą dla mnie czymś więcej niż tylko kolejną lekturą. Mam na myśli książki trójwymiarowe. Poza klasyczną, najczęściej baśniową warstwą fabularną, oferowały one namiastkę teatru. Wciągał mnie bez reszty ten powycinany świat. Niewiele słów, drobny ruchomy kartonik i moja wyobraźnia miała co robić. Te najpiękniejsze zdobyły najwyższe półki w świetlicowej bibliotece i budziły zachwyt dzieciaków, porównywalny z tym, jaki dziś w młodych może wywołać najnowsza gierka komputerowa na sklepowej półce. Cóż, lata świetlne!

Moje dzieciństwo wypełnione było zabawą kartonowymi lalkami, „cudnymi” obrazami wklejanymi do pamiętników, modelami rozmaitych pojazdów z „Młodego Technika” i grubo ciachanymi serwetkami, z dumą podtykanymi rodzicom pod szklanki w metalowych uchwytach. Być może właśnie dlatego potrafię dziś docenić pięknie wykonaną pracę ilustratora książki, który wybiera trudną sztukę wycinanki.

W ostatnich latach wycinanki przeżywają swoisty renesans dzięki modzie na folk. Motywy ludowe, choć niestety, nie nasze regionalne, pojawiają się w dekoracjach, na ubraniach, a nawet meblach. Nurt ten znalazł też swoje miejsce w ilustracji książkowej. W ciągu ostatnich lat na polskim rynku wydawniczym ukazało się kilka wybitnych książek dla najmłodszych, docenionych w międzynarodowych konkursach. I dobrze, bo z perspektywy rozwoju wrażliwości artystycznej najmłodszych sztuka ta jest wyjątkowa.

Pamiętali o tym m.in. twórcy *Antologii Warmińskiej* – zbioru baśni, podań i legend z Warmii, wydanego w 2011 r. Rysunki do samej książki wykonał Włodzimierz Cholestiakow, jednak na szczególną uwagę zasługuje szata graficzna dołączonego do publikacji filmu pt. *Zaklęty zamek w lesie olsztyńskim*. To pięknie opracowana baśń warmińskiej pisarki – Marii Zientary-Malewskiej. Autorzy ilustracji i animacji – Paweł Kurylak i Adam Smoczyński, związani z olsztyńskim Studium Ruchome Obrazki, w profesjonalny sposób wykorzystali technikę wycinankową, tworząc wielowymiarowy świat, w którym piękna i dobra Pani otacza troską rodzinne ziemie. Są tu papierowe witraże na zamku, papierowi rycerze, papierowy las i woda, a nawet papierowy błysk w oku Łyny. Znaczny schematyzm i stonowane barwy znacząco odbiegają od form ilustratorskich, do jakich przyzwyc-

czail młode pokolenia czytelników Walt Disney. A mimo to maluchy oglądają baśń warmińską jak zaczarowane. Doskonała kompozycja elementów graficznych, ich prosty przekaz połączony z pięknem opowieści niezbitnie dowodzą, że emocje dziecka najłatwiej poruszyć, odwołując się do symboli nie zakłócanych przesadnym wykorzystaniem środków artystycznych.

Do tej samej techniki artystycznej nawiązali twórcy książki pt. *Mazurskie czary* wydanej rok później w ramach projektu realizowanego przez Garncarską Wioskę w Kamionce. Tym razem tematem są Mazury, a dokładniej wieś Kamionka niedaleko Nidzicy, i tajemniczy Rajski Ogród. Autorką jest Janka Malinowska, warszawianka, która od 2000 r. związana jest z ziemią nidzicką. Jak sama zaznaczyła w podtytule, stworzyła bajkę inspirowaną miejscem na Mazurach, będącym efektem szerszego projektu edukacyjnego i ekologicznego. Założeniem książki ma być bowiem wychowanie młodych czytelników w szacunku do przyrody, co wydatnie pointuje hasło: „Pamiętajcie, drogie dzieci, że nie wolno w lasach śmiecić!”. Jest to jednak idea nie wyrażona bezpośrednio w treści tej wierszowanej książki. Kompozycyjnie da się wyróżnić dwie części – pierwszą, opiewającą walory wsi Kamionka i efekty pracy jej mieszkańców, oraz drugą, w której dzięki relacji ważki w niebieskim mundurku mali czytelnicy poznają świat Rajskiego Ogrodu. Już pierwsze strony książki wprowadzają dziecięcego czytelnika w klimat bajki, w której to rzecz dzieje się nie dawno, dawno temu, ale „niedaleko, za pastwiskiem, starym dębem z młodym listkiem, za pagórkami, za zakrętem”. Z każdym kolejnym wersem otwiera się tajemnicza Brama Mazur. Niestety, należy to powiedzieć, utwór formalnie jest mocno niespójny i zawiera potknięcia rytmiczne, szczególnie wyczuwalne podczas głośniego czytania.

Niezależnie jednak od walorów literackich publikacja ta zwróciła moją uwagę przede wszystkim swoją szatą graficzną. Ilustracje, które wykonał Rafał Dominik, to kilkanaście barwnych kart wykonanych techniką wycinanki i kolażu. Jak przystało na pracę w nurcie *eco*, w kompozycjach dominuje zieleń. Rozmaitość wykorzystanych materiałów wzbogaca całość. Wyjątkiem są może jedynie foliowe skrzydełka owadów mieszkańców ogrodu, które z drugiej strony możemy uznać za doskonały przykład recyklingu. Bajkowa forma utworu literackiego wskazuje na bardzo małego adresata, który potrafi docenić w przekazach plastycznych głównie przejrzystość i prostotę. W tym przypadku, chociaż ilustrator wyjątkowo pracowicie potraktował zadanie, oddając z wielkim pietyzmem i szczegółowością zakątki magicznej wioski, koncentrując się na bardzo wielu detalach, wydaje się, że niepotrzebnie poddał się dosłowności. Warto pamiętać, że dzieciom, szczególnie tym małym, często wystarczy barwny zarys, by same miały szansę wykreować własny świat, żywy i magiczny. Mimo to cieszy fakt, że do rąk młodych czytelników trafia kolejna publikacja, która nie straszy „byle jakimi” ilustracjami, ale w przemyślany sposób próbuje wychowywać i być może zainspiruje kogoś z młodych czytelników do zabawy w stare dobre wycinanki.

Antologia Warmińska, Olsztyn 2011. Dodatek: film na płycie DVD: *Zaklęty zamek w lesie olsztyńskim, Olsztyn 2011.*

Malinowska Janka, Mazurskie czary, il. Rafał Dominik, Kętrzyn, 2012.



Dariusz Szymanowski

Jan van Eyck albo odbicie

Cierpliwość, z jaką oglądał każdy najmniejszy przedmiot, jego kontur i połysk, chropowatość sukna, grubość sierści, kolor, godna jest podziwu. Był w tym podobny braciom Limbourg, którzy z dokładnością iluminatorów przedstawiali świat w delikatnych szczegółach.

Jan van Eyck do mistrzostwa doprowadził technikę. I jego drzewa, budowle, i faktury trudno jest doprawdy odróżnić od rzeczywistych, a jego obrazy bardziej niż tkaninę czy gobeliny przypominają świat realny. Świat na płótnach van Eycka jest światem u-rzeczywistnionym.

Autor słynnego *Portretu rodziny Arnolfinich*, który wisi dzisiaj w National Gallery, malował z taką precyzją, że można doliczyć się niemal każdego włosa końskiej grzywy. To umiowanie szczegółu jest u van Eycka dyskretnie, subtelne, wręcz intymne. I aby je dostrzec, należy zbliżyć się do płótna na odległość kroku. I znów niderlandzki apostoł detalu uświadamia nam, że z oglądaniem obrazu jest jak z podglądaniem otaczającego nas świata. Aby ujrzeć coś jaśniej i dokładniej, poznać każdy szczegół, najmniejszy fragment rzeczy, należy przybliżyć do niej wzrok i dotknąć, poczuć jej ciepło i zapach, całym sobą zrozumieć jej budowę. Bo tak tylko można poznać jej prawdziwą naturę.

Jan van Eyck różnił się od swych współczesnych, między innymi florenckich mistrzów z kręgu Brunelleschiego, tym, że miał korzystać z perspektywicznego skrótów, sam stwarzał iluzję natury. A cała jego tajemnica polegała na stopniowym gromadzeniu szczegółów.

Niemniej ważną od samego warsztatu mistrza była jego praca przed przystąpieniem do płótna. W XV wieku nie można było nabyć farb w tubach i artyści sami musieli je przygotowywać. Melli

więc pigmenty roślinne bądź mineralne na proszek, a pod koniec dodawali nieco płynu, aby uzyskać gęstą konsystencję. Jedną z powszechnie stosowanych technik preparowania była technika tempery, a najcenniejszym i najczęściej wykorzystywanym przy samodzielnym ucieraniu temper emulgatorem było żółtko jaja kurzego. Ale van Eyck nie był dostatecznie usatysfakcjonowany tą metodą, ponieważ nie umożliwiała ona płynnego przejścia barw. Zamiast jaj używał więc oleju, dzięki czemu sama farba schła wolniej, a przez to mógł malować dłużej i dokładniej. Zmiana spoiwa (medium) umożliwiła van Eyckowi uzyskać efekt świetlistości nakładanych na siebie w postaci przejrzystych warstw (laserunków) barw. I tak wynaleziona została farba zwana do dzisiaj farbą olejną.

Cały kunszt, mistrzostwo w ukazywaniu detali zawarł van Eyck w malarstwie portretowym i swym najbardziej znanym obrazie przedstawiającym włoskiego kupca Giovanniego Arnolfini i jego narzeczoną Jeanne de Chenany.

Scena bardzo uroczysta, ślub. Młoda kobieta, nieśmiała i pełna nadziei, położyła swą prawą dłoń na lewej dłoni ukochanego, na znak małżeńskiej jedności. Leniwe poranne światło wpada przez okno, jak zwykle u Holendrów umiejscowione na lewej ścianie pokoju.

I widać dokładnie pomarańcze leżące tuż obok i ciężką czerwień akksamitnego baldachimu. Na wiszącym żyrandolu dopala się ostatnia świeca. Jedyne świadectwo wczorajszej miłości. I na chwilę przed wyjazdem stoją razem, wierząc, że moment ten będzie trwał wiecznie.

Cała scena odbija się w zwierciadle wiszącym na ścianie, dokładnie naprzeciw nas, jakby van Eyck chciał, abyśmy się w nim przejrzeni. Zupełnie jak on, złożyli swój podpis.

Singulis fuit hic.

Toruń 2013



Muzyczne epifanie

– Electropoetry Ensemble i Talizmany

Jeżeli jest w sztuce miejsce na ekspresję ludzkiej samowiedzy i nieświadomych uczuć, jeżeli możliwa jest komunikacja wolna od pojęć i konwencji, która jednak byłaby zdolna dotrzeć do istoty przekazu, jeśli jest w muzyce miejsce, w którym artysta i słuchacz dowiedzą się o sobie czegoś, czego dotychczas nie mogli doświadczyć, to bez wątpienia może się to wydarzyć wyłącznie poza obszarami obowiązujących konwencji, pomiędzy gatunkami i stylami, na ziemi niczyjej, w świecie, który – dopiero odkrywany – staje się królestwem kreatywności. Z takiego właśnie założenia wychodzili zwolennicy poszukiwań i eksperymentów, takim celem poświęcali swe życie i dla takich nadziei rezygnowali z popularności prawdziwi artyści.

Kiedy pojawiła się płyta *Talizmany* podpisana przez Electropoetry Ensemble, można się było spodziewać wydarzenia na miarę wcześniejszych dokonań zaangażowanej w projekt grupy muzyków. Uwagę przyciągali przede wszystkim znani w Olsztynie wokaliści Małgorzata Wawruk, Basia Raduszkiewicz i Marcin Wawruk, kompozytor Jarek Kordaczuk, klarncista Andrzej Bukowski, ale również znani muzycy spoza Olsztyna, którzy jednak, jak choćby pianista Krzysztof Herdzin, z olsztyńskimi muzykami pracują już nie pierwszy raz. Okazało się, że efekt przerósł wszelkie oczekiwania. Rzadko zdarza się znaleźć nową płytę, która, mieszcząc się tak precyzyjnie poza utartymi ścieżkami, tak skutecznie porusza, trafia w oczekiwania, ale zarazem tak konsekwentnie zaskakuje.

Teksty pięciu poetek – Urszuli Koziół, Ewy Lipskiej, Janiny Brzostowskiej, Adrianie Szymańskiej i Wisławy Szymborskiej – stały się punktem wyjścia programu, który układa się w całość o ogromnej sile ekspresji i czytelnej strukturze. Decyduje o tym opracowanie muzyczne będące dziełem dwóch kompozytorów – Janusza Lipińskiego i Jarka Kordaczuka. W wyborze znalazły się po dwa teksty każdej z autorek, co miało wpływ na różnorodność, ale i na spójność zbioru. W rezultacie powstało dziesięć utworów powiązanych wspólną ideą *quasi* suity, przywodzącej na myśl koncepcyjne albumy z najlepszych lat rocka progresywnego.

I tu właśnie, w eksperymentach formalnych Roberta Frippa czy we wczesnych brzmieniach King Crimson, należałoby szukać inspiracji. Warto jednak pamiętać, że takie odwołania wskazują na ogromny obszar referencji sięgających do kontrkulturowych idei twórczych, jak i do awangardy jazzowej oraz radykalnej estetyki lat sześćdziesiątych. Warto pamiętać, że od czasu wyjścia z macecznika progresywnego i eksperymentalnego art-rocka przetoczyły się przez kulturę fale punk-rocka, rapu, muzyki techno i rocka postindustrialnego, a w efekcie zmienić się musiał także brzmieniowy zakres eksperymentu.

Olsztyński rodowód tej muzyki sprawia, że, poczynając od pły-

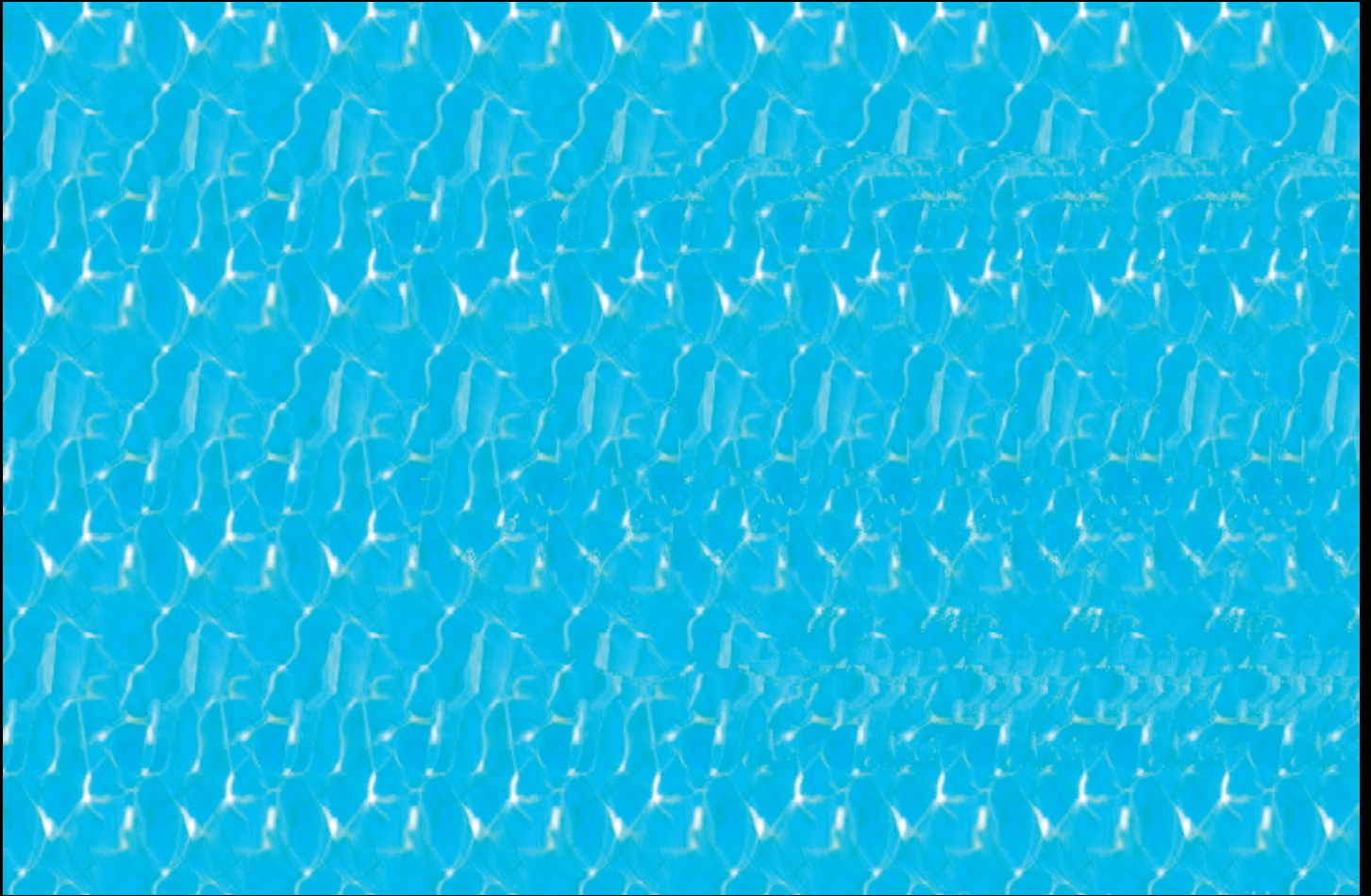
ty *Talizmany*, możemy mówić o naszej lokalnej i oryginalnej scenie progresywnej, chociaż warto pamiętać, że w przeszłości nie brakowało w Olsztynie zjawisk reprezentatywnych dla tego kierunku – od legendarnego zespołu Art Rock, poprzez jazzowe projekty Grzecha Piotrowskiego i Arona Bluma, po liczne formacje poszukujące sposobu przezwyciężenia muzycznego konwensu. *Talizmany* wydają się najbardziej radykalnym i najbardziej konsekwentnie zrealizowanym ze znanych projektów.

Nie jest to rock ani jazz. Elektryczne i elektroniczne brzmienia mogą przypominać historyczne zespoły czy style, a jednak dobór instrumentów nie ograniczył twórców. Motoryczne rytmy nie powinny nikogo wprowadzić w błąd. Powtarzalnym strukturom powierzono tu funkcję bliższą tej, jaką figuracje pełniły w polifonii baroku niż riffy w muzyce rockowej. Również zestawienie głosów jest znaczące. Przez odwołania do stylistyki rocka, piosenki poetyckiej, *world music*, czy tradycyjnej emisji wokalne, osiąga się tu efekt semantycznego zwielokrotnienia i polifoniczności. Także solowe prezentacje podporządkowane są nadrzędnej idei kompozycji.

W muzyce zawsze zmagaly się dwie sprzeczne tendencje. Z jednej strony była to apologetyczna wobec rzeczywistości potrzeba wzruszania, opowiadania w sposób rozumiały, odwoływania się do pozamuzycznych treści. Z drugiej – ambicja zmieniania świata sprawiała, że poszukiwano w muzyce sensów autonomicznych. Muzyka eksperymentująca, czasami stawiająca pod znakiem zapytania nasze poczucie ładu, wnosi ożywczą energię, stając się zarazem eksperymentem dokonującym się w naszej świadomości. A im bardziej ambitne założenie, tym bardziej ów konflikt bywa czytelny. W tym wypadku zawdzięczamy to dużej grupie muzyków tworzących Electropoetry Ensemble.



porcelana – Letyga Pietraszewska



Zrelaksuj się nad wodą

Stereogram – specjalnie tworzony obraz, dający wrażenie trójwymiarowości oglądanego obiektu. Podobno służyć może do relaksacji zmęczonych oczu. W tym celu należy zastosować jedną z wybranych technik:

1. Zrobić zęza
2. Przysunąć obraz do czubka nosa i stopniowo oddalać
3. Patrzeć „na wylot” gazety
4. Patrzeć jednym okiem, lekko potrząsając głową na boki

Uwaga: streogramu mogą nie odczytać osoby z wadą wzroku

